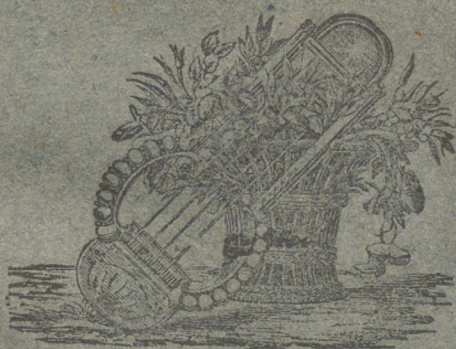


30
69

KSIĄŻECZKA
DLA
MOICH DZIECI,
DANA IM NA PAMIĄTKĘ.



W PŁOCKU,

1829.

40389



Op. Jan. Christensen
17. VI. 1924

Lit. 147

KSIĄŻECZKA

DLA

MOICH DZIECI,

DANA IM NA PAMIĄTKĘ,

CZYLI

ZBIÓR POWIEŚCI, ANEGDOT PRAWDLI-
WYCH, ROZMÓW, BAJECZEK, i RÓŻNYCH
WIĘRSZYKÓW, Z PRZYDATKIEM JEDNEJ
KOMEDYJKI DLA DZIECI.

W PŁOCKU,

DRUKIEM KAROLA KULIGA.

1829.

MD



2067

Za pozwoleniem Cenzury.



1 923.794

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001010717514

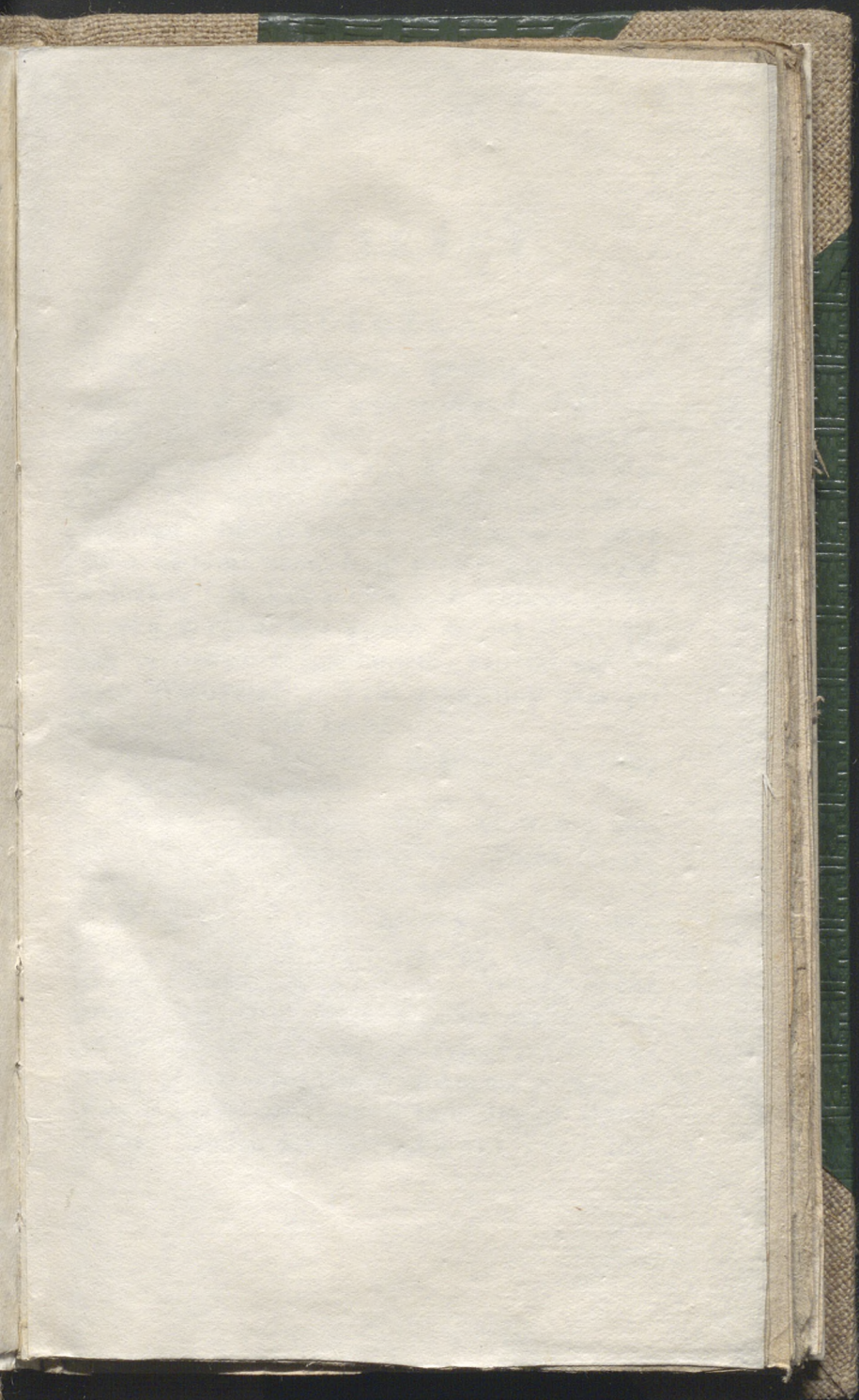
1974 W 868 / 64

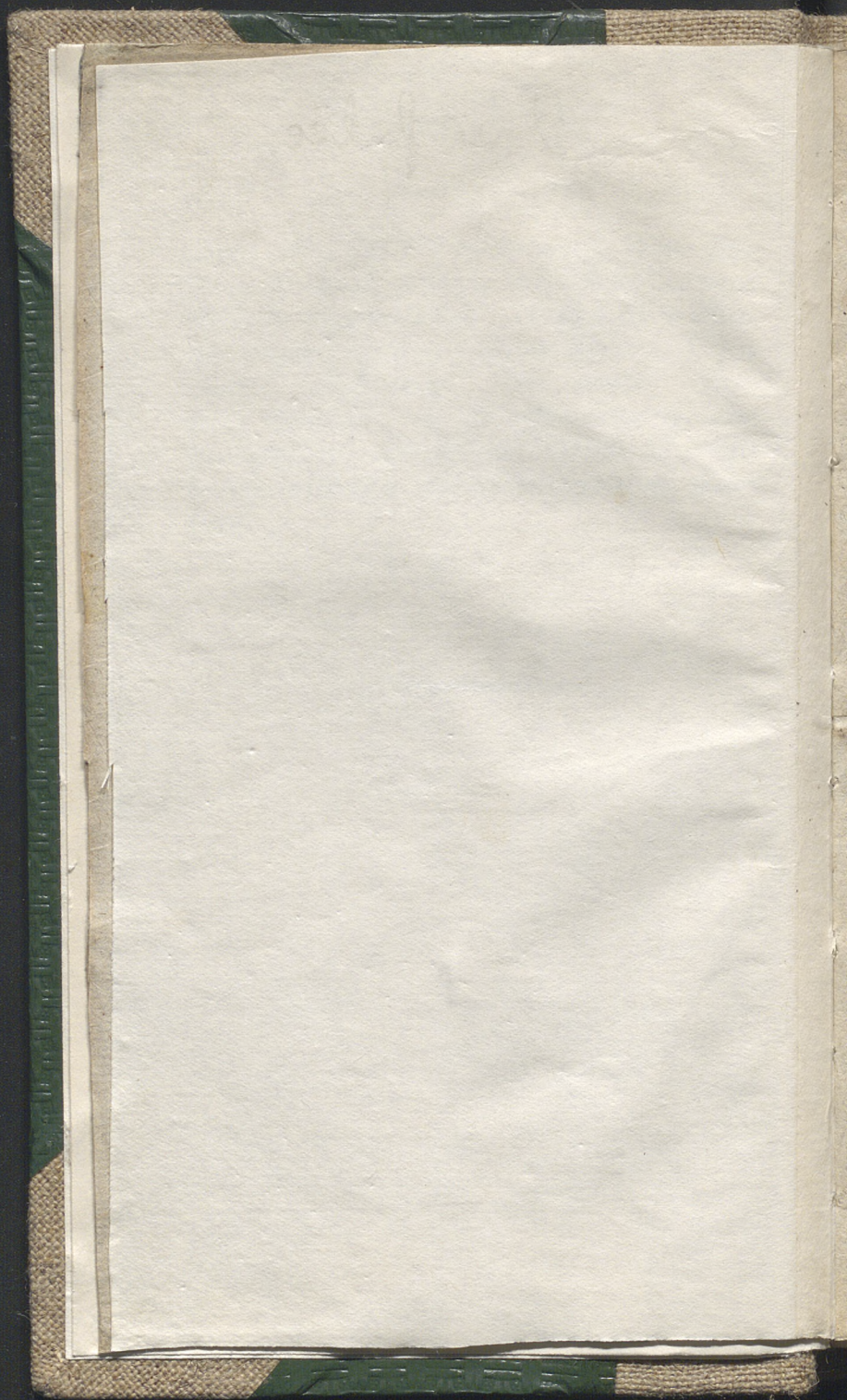
DO DZIECI.

Niosę *W*am poraz piérwszy w tym roku dla nauki i zabawy niniejszą książeczkę. Znajdziecie w niej wzmiankę o stósunkach najdroższych sercu mojemu, bo któryżby Ojciec nie lubił mówić o kochanych dzieciach, o swojej rodzinie, i o tém, co się w jéj obrębie dzieje? Podobnie Ojcowie i Matki najwięcej zabawiają się *W*ami: i to błogie uczucie Stwórcy łaskawy wlał w serca ludzkie, że im związki rodzinne zawsze są najmiłsze. *A* jeżeli odczytanie słów moich, i niewinnych z méni dziećmi rozmówek, zrobi *W*am jaką przyjemność, będzie to dla mnie najstódszą pracy mojej nagrodą.

Tobie zaś Córko moja, Adelko, daję tę książeczkę dlatego, żeś ze mną i z *Matką* przepędzała wieczory, słuchając w niewinnej ciekawości, opowiadanych sobie, jak je nazywałaś, bajek-

czek. Powieści i rozmowy, które były ważniejsze prawie dosłownie w tym zbiorze umieściłem. O Dzieci kochane! ta pamiątka po Ojcu, będzie Wam kiedyś najmilszą. Na świecie wszystko niestałe; sama tylko cnota, sama pamięć chwalebnej młodości, dla serca tkliwego jest nieocenionym skarbem.





POWIEŚCI.

BUŁECZKA.

Wstań, mój Władysiu, pójdziemy w pole, teraz chłód jeszcze; piękna pogoda, będziesz mógł biegać do woli, zrywać kwiateczki po smugach, dla twojej Siostruni, dla Mamy. Tak mówi Pan Cuotliwski do ośmioletniego Chłopczyka.— Władysiowi dość było na tém: zerwał się czempredziej, wstał z łóżka, i w kilku chwilach ubrany, z lasieczką w rękę, był gotów do wyjścia. Ale jak to będzie z śniadaniem, zapytał się Ojciec Władysia? w polu zabawimy czas jaki, to ci się jeść zachce.

Władys. Jeżeli Tata pozwoli, to wezmę w kieszeń bułeczkę.

Ojciec. Poczekaj, włożę ci w nią masła, tak będzie smaczniejsza. Teraz obwiń ją w papier, i wsuń do kieszeni.

Władys. Jużem gotowy, idźmy już, Tato. Sli nieco drogą dla rosy, potym udali się ścieżką przez pole. W tém ujrzą zdaleka zgarbionego na kiju Staruszką, drżącą głowę ledwie mógł utrzymać, i schyliwszy ją ku nim, prosił pokornie o wsparcie, a prosił ze łzami w imie Jezusa Chrystusa. Ojciec dobywa sakiewki, i daje bi-

dnemu kilkanaście groszy. Dziecię spogląda na Ojca, i samo niewie, co mówić. — Zgadł dobry Ojciec to pomieszanie Chłopczyka, i tak przemówił do niego: Cóż ty dasz dziadkowi, mój malcze?

Władys. Oto, mój Tato, ja mu dam bułeczkę.

Ojciec. Dobrze, moje dziecko. Pozwalam. Po tych słowach odwrócił się Ojciec, i tzy ocięrał.

Chłopczyzna dobył bułeczkę, i natychmiast oddał ją biędnemu. Staruszek zapłakał, i błogosławił Władysiewi mówiąc: Oby na Cię Niebo w długim życiu i zdrowiu złało swoje łaski, i Ojcu dozwoliło cieszyć się długo twójego szczęścia widokiem!

R Y B K I.

Podczas letniego wieczora chodził szanowny Misyjonarz nad brzegiem Wisły, cały zatopiony w myślach o nowym Zakładzie Miłosierdzia, który dopiero co powstał, ze składek dusz litościwych, i za jego pobożnym staraniem. Ten Cudzoziemiec, którego nowa Ojczyzna jako najlepszego ze swoich synów chluba swoją nazywa, z naj-

większém wysileniem, i przy pomocy możniejszych, już był wystawił początkową budowlę tego gmachu, co za łaskawą opieką błogosławionego Monarchy dziś tak się rozszerzył, że mieści w sobie wszystkie wygodę, ku potrzebie opuszczonych sierót, i zdobi ślicznie Stolicę. Zaczęło jednak ubywać dochodów, bo dawne wyczerpało znaczne mnóstwo przybywających niemowląt; musiał więc myśleć o powiększeniu składek, i dla tego czasem, aby mieć myśl wolniejszą, chodził po nadwiślu, i dumał, jak się do serc pobożnych o miłosierdzie odezwać. Wtém go dochodzą słowa rzewnie płaczącej Niewiasty: zarzucała ze statku wędkę drżącą ręką, a żadna rybka wyciągniona niepocieszyła płaczącej. „Cóż pocznę Matka nieszczęśliwa? Kilkoro dzieci czeka na mnie w domu; a tu ani jednej, ani jednej rybki! a w domu ani szeląga, ani okruszyny chleba! O biedne sieroty! już wy teraz z głodu pomrzecie. Ludzie zapomnieli o nas, i któż was posili, kto uratuje od śmierci.” — *Ten, co odzięwa polne lilije, co karmi ptastwo niebieskie,* odezwał się Kapłan, i wziął ją z przymile niem za rękę. Złękała się Niewiasta z początku, ale twarz spokojna poważnego i miłego Starca, z której powzięła nadzieję ra-

tunku, ośmieliła trwożliwą, chociaż jeszcze z niejaką bojaźnią prostoty i skromności na niego patrzała. — Niémógł i Kapłan też w oczach swoich zatrzymać, widok też niewiasty i żalosne jęj wyrzekanie wzruszyło do gruntu jego serce. Pójdź zamną, rzeczce, prowadź mnie do twoich dzietek.— Uczyniła to niebawnie, i wkrótce stanęli nie w domu, ale w nędznej budzie, nakształt szalasu, z gałęzi wystawionój, i niezabezpieczonój od sloty. Kilka garści słomy, albo raczej bartogu było jęj i dzieci postaniem, a na postaniu żadnój pościeli! i dziatki bez wszelkich sukienek, prawie nagie, koszulki nawet w szmaty podarte wisały ledwie na ich wynędznionych ciałaach! O Boże! westchnął Staruszek, jakże małą cząstką miłosierdzia jest mój ubogi zakład, jakże mnie wstydzi, że daję wsparcie często bezwstydnój śmiałości, a ta nieszczęśliwa Wdowa, a może wiele jęj podobnych Matek jęczy w zapomnieniu z dzietkami! Pociesz się, biedna Niewiasto, mówił do nięj Kapłan, ocięrając łzy swoje, zabierz się zemną, pójdziemy do Warszawy. Może do jakiego pana, odezwie się Wdowa, już ja u niejednego byłam po śmierci męża mojego, ale po co o tém spominać?... Nie do pana pójdiesz, lecz do mnie?— Do Klasztoru? a cóż tam będę

robiła?— Nie do Klasztoru, do Dzieciątka Jezus.— Odskoczyła na te słowa ze strachem, i byłaby zaraz uciekła, gdyby ją Misyjonarz nie był przytrzymał za rękę.— Ja mam iść do Dzieciątka za mamkę?— o! właśnie, żebym kilkoro dzieci a nieswoich karmiła, a moje w domu z głodu pomarły? Niebój się, dobra Matko! nietak to zrobimy. Ja mam u Dzieciątka niejakię znaczenie, i spodziewam się, że na moje słowo przyjmą Cię Siostry Miłosierdzia i z twemi dziećmi. Gdyby niepoważny Starzec, nie Kapłan skromny, którego słowa zaufanie wpajały, tak ją zapewniał, nie byłaby wcale uwierzyła.— A razem sam głos Anioła ledwieby może tyle dla niej był miły, co to zapewnienie Kapłana.— A jakże ja zabiorę moje obdarte dzieciiska? jak je przez środek miasta będę prowadziła? Toć to istne cyganięta, ludzie się z nas będą wyśmiewać, i z ciebie, Kochany Panie i Dobrodzieju! Nieturbuj się o to, zabiérz je tylko, jak możesz. Wyszedł po tych słowach, i chwilę niedługą zabawił; przyniósł jej dwa odzienia, któremi dzieci okryła, i poszła za nim w milczeniu. Postępowali zwolna, niejednen ciekawy badał Niewiastę, lecz mało kto nieznał Piotra Boduęna, tego Przyjaciela ludzkości, i zapewne domyślały-

ście się, Dzieci Kochane, że to on być musiał. Przyjęta z dziećmi do Dzieciątka Jezus, zawsze na widok Starca zaléwała się łzami, i temi łzami wdzięczności nogi jego skrapiała: cnotliwy Kapłan wzajemnie, pocieszając ją z tkliwą pobożnością, miał ten dzień i tę chwilę za najszczęśliwszą, w której biedną Matkę z kilkorgiem sierót od pewnej śmierci ocalił.

LITOŚCIWE DZIECI.

Helunia i Adaś dostali od Rodziców po dwa grosze na ciastka, lub coby chcieli innego, i mieli sobie na przechadzce, kupić. Tata i Mama, i mały Braciszek z piastunką śli niedaleko za niemi. Przechodząc jedną ulicą, napotkali dwoje ubogich, którzy ich o wsparcie prosili. Helunia i Adaś usłyszeli wyraźnie te słowa: *Spomóżcie biédne sieroty, a Bóg wam za to nagrodzi!* Małe ich serduszka wzruszyły się uczuciem, którego jeszcze nieznali, było to uczucie litości. Długo Dzieci patrzyły na siebie, w tém rzekła Helunia do Brata: *Wiesz co, Adasiu? musimy poratować tych biédnych;*

i zaraz, jakby się poprzednio zmówili, wyjęli z woreczków pieniążki, i dali biednym ze łzami; mówiąc te słowa nieledwie razem do siebie: Bóg ma więcej, niż rozdał, On daje Tacie i Mamie. I nieczekając rzewnych podziękowań, odesłi do Taty i Mamy, którzy, uściskawszy oboje, dali wisienek i ciastek, a gdy cała rodzina powróciła do domu, raz jeszcze Rodzice ucałowali miłosiernie Działki, nawet i mały Józio, choć biedaczek niewiedział, o co tam chodziło, podzielał ich radość, śmiał się, klaskał rączkami, i co tylko miał siły, ścisnął Braciszka i Siostrę.

PIĘKNE WIAZANIE.

Florusz uczył się dobrze, kochali go też Rodzice, a że był skromnym, spokojnym, i czasu na dobre używał, pozwalali samemu chodzić na przechadzkę, i to niedalęj jak w pole bliskie do ludzi, albo na wieś, ale zawsze z wiernym domownikiem, o którym byli pewni, że mu nic złego niepowie. Dnia jednego w czasie pogody wyszedł Florusz podobnie, ale więcej zamysłony, jak da-

wniej. Ten bowiem dzień jeden poprzedzał najmilsze mu święto, Imieniny kochanego Ojca, który mu był droższy nad życie; a Matka jeszcze z rana mówiła do niego te słowa: „Florusiu, Florusiu, przyszła ozdoba i głowa rodziny, pomyślże o tém, jakie wiązanie dasz jutro Ojcu, jak mu powinszujesz.”

Brzmiały w uszach jego te słowa, a serce żywo bijące utrzymywało w niém miłą niespokojność i oczekiwanie, iakiego dotąd niedoznał. Bo już nieraz winszował Ojcu Imienin, a jeszcze nigdy nad wiązaniem dla Rodziców niemyślał, i nigdy Matka nieodezwwała się tak czule. Okoliczność sercu tyle miłą zawsze poświęcał tklivemu wynurzeniu swych uczuć względem kochanych Rodziców, poświęcali ją Braciszkanie i Siostry, ale nie w ten sposób, aby obcemi życzeniami obchodzić drogą pamiątkę: każde, jak myślało, mówiło, proste były ich oświadczenia, w prostocie niewinnéj szły z serca, i trafiały do serca. Jednak dnia tego Florus najwięcej się kłopotał. Starszy téż iestem, mówił sam do siebie. Ileż niewiniemem wdzięczności dobremu Ojcu, za wszystkie łaski od kolébki doznane! I w samej rzeczy była to chwila stanowcza, wiedział o tém Florus, że będąc starszym od

innych dzieci, i w latach przystępniejszych rozwadze, powinien był dla Ojca wynaléć godne wiązanie, i piękną ofiarą uczcić tklive święto, razem tak szanownego i tak drogiego Imienia, a to jeszcze według słów Matki, od wszystkich, dzieci jako syn starszy, od całego rodzeństwa i za domowników, jak przyszła głowa rodziny. Ta ślachetna duma wzniosła jego uczucia, ważąc w swéj głowie rozmaite układy, szedł prosto drogą przez wieś Rodziców idącą. Aliści rzewny widok nędzy zastanawia go wkrótce. Dwie sieroty, okryte łachmanami, zgłodniałe, wybladłe, trzęsące się od zimna (był to bowiem schyłek niepogodnej jesieni) postępowały zwolna tą samą drogą, spoglądając bojaźliwém okiem na przechodzących, a nieśmiejąc prosić o jałmużnę. Litościwe serca zgadują bliźnich potrzeby, nieoczekując upokarzających wyrazów. Miłosierny Florus, wychowany w domu, w którym litość była źródłem cnót wszelkich, a siostrą pobożności, nawykł zamłodu szanować nieszczęście, i nieubliżać wsparcia potrzebnym. Miał od Rodziców kieszonkowe pieniądze, ale niewydawał ich na fraszki, jak inne dzieci swawolne i płocze, w tém jedynie szczęściu doznawał pociechy, kiedy mógł biednemu dać jaki zasiłek. Zobaczy-



wszy owe siórotki, natychmiast zbliżył się do nich; pozdrowił pobożnie, usłyszał nawzajem ciche pozdrowienie, a wszedłszy w rozmowę, dowiedział się ze smutkiem, że mają krewnych i nawet zamożnych we wsi pobliskiej, że je z domu wypchnęli, i tylko czasem do progów swych zbliżyć się dozwolą; najczęściej złają, nazywając ciężarem, i nie niedawno, łzami zalane odprawiają. To opowiadanie, pełne rzewliwej szczerości, wycisnęło łzy politowania z oczu dobrego Florusia.

O Boże! pomyślał sobie, któżby lepiej od krewnych pamiętać o was powinien? czemuż Twoja Wszemocność niewleje w ich serca strumienia miłosierdzia i dobroci; czemu ich nienatchnie czułością? Ale, o Panie, tajne są i niedościgłe drogi mądrości Twojej, niewolno ich zgłębiać krótkowidzącemu stworzeniu. Wiścież co, moi kochani, pójdźcie ze mną, ja o was będę pamiętał, i to mówiąc, wziął je za ręce, i prowadził za sobą, a nieśmiałe siórotki, już to wymawiając się, już błogosławiąc mu, szły za nim.

Od pierwszej z Florusiem rozmowy powzięły ku niemu szacunek i przywiązanie. On je zaprowadził na folwark, tam prosił żony Ekonomy, niewiasty litościwej, aby je umyć kazała, i sama ubrała; a na ten ko-

niec z pozwolenia Matki przyniósł potajemnie przeszarżane swoje sukienki. Biedne Dzieci całowały jego ręce i nogi, i od łez mówić niémogły. A kiedy nadszedł dzień upragniony, dzień Imienia Ojca, wstał jak najranięj; a dowiedziawszy się, że oboje Rodzice przy śniadaniu siedzą, i na dzieci czekają, wszedł do pokoju, ucałował ręce Matki i Ojca, i te w miejsce życzenia słowa powiedział: Ojcze najdroższy! racz przyjąć odemnie najgodniejsze serc naszych wiązanie. (Tu służąca wyprowadziła sieroty, umyślnie w pobocznym ukryte pokoju, a Florus tak dalej mówił): najgodniejsze wiązanie, bo niém chciałem dowieśdź, jak żywo utkwiły w mém sercu nauki twoje, Ojcze, kiedyś mi załécał litość ku biednym, jako piérwszą cnotę, najgodniejsze ciebie wiązanie, boś mi zawsze przykładem swoim tego dowodził, mając nad biednymi opiekę. O drogi Synu! zawołał z uniesieniem Ojciec Florusia, i przyjął go w swoje objęcie: kto, jak ty, wiosnę lat swoich dziełem litości uświetnia, temu Bóg zawsze będzie błogosławił, i stanie się zaszcytem ludzkości. Chciał więcéj mówić, ale mu rozrzewnienie jego nie dało. Matka, Braciszkwowie i Siostry ściskali kolejno Florusia; a wszyscy znajomi, przyjaciele, domownicy, niémogli

się od łez utrzymać, opowiadając sobie to tkliwe zdarzenie.

PORANEK.

Ah! jakże piękne to słońce! jak ślicznie podnosi się z lasu! mówił Michaś do Ojca, kiedy raz bardzo rano przechodził się z nim po zieloném polu, a miłe wietrzyki i radośne śpiewy ptastwa witały wschodzącą jutrzeńkę, która swojemi promieniami całą naturę, jakby złotem, oblała. Kto też to zrobił, rzekł dalej, to słońce! Ojciec milczał przez chwilę, słońce tymczasem nieznacznie w zbiłało się wyżej, i już było nad lasem. Tu Michaś zaczął skakać z radości; bo jeszcze nigdy wschodu słońca niewidział. Zdawało się, że Bóstwo natchnęło życiem nowém i nową myślą Dziecinę, aby młodociana jego dusza poznała wcześniej Jego wielkość i dary. Czy widziałeś kiedy, Michasiu, zagadnął go Ojciec co spanialszego, jak dzisiaj?

Michaś. O nie, mój Tato, nigdy niewidziałem, jakbym ja rad poznać to słońce, i dotknąć się jego: ono piękniejsze, o! daleko piękniejsze od złota. *Ojciec.*

Ojciec. A gdybyś jeszcze wiedział jak wielkie?

Michaś. Z początku było, jak przetak największy, ale mi coś teraz maleje.

Ojciec. Bo się wzbija dogóry. Trzymaj tylko duże jabłko zdaleka, to będzie małeńkie, a im się bardziej oddalisz, tym się mniejsze stanie. Tak i ze Słońcem, Michasiu.

Michaś. To Słońce musi być większe od największego przetaka.

Ojciec. I od tysięcy przetaków, bo jest od nas bardzo daleko, i cały świat oświeca.

Michaś. O, domyślam się, mój Tato, świeca pokój tylko rozjaśnia, i to niewielki, a na dworze, to jój prawie niewiadać.

Ojciec. Wieleżby to świec potrzeba do objaśnienia téj całej okolicy! — Bo widzisz, moje dziecię, że i w nocy tyle gwiazd świeci z Księżycem, aby jasno było, inaczéj niebezpiecznie chodzić.

Michaś. O! już to nieraz widziałem: w nocy tak jasno przy Księżycu i gwiazdach, że i w pokoju świecy niepotrzeba.

Ojciec. A Słońce zastępuje wetnie Księżyc i gwiazdy, i całą tę przestrzeń oświeca.

Michaś. Toć już wielkie być musi, ale niewiem do czego ten krąg jego przyrównać?



Ojciec. Widziałeś już globus?

Michaś. Widziałem, co to ziemię wystawia, ale ona daleko, daleko większa od niego.

Ojciec. Otóż i Słońce, które nie tylko ziemię oświeca, ale i świat cały, musi być większe od ziemi, i w samej rzeczy niezmiernie jest większe.

Michaś. Ah! kto je też zrobił, kto je tak zawiesił?

Ojciec. Bóg, mój Michasiu; wszakże już o nim od Mamy słyszałeś.

Michaś. O, tak, słyszałem, On mieszka w niebie, On wszystko może, On tyle rzeczy postwarzał dla ludzi. Ja Go też kocham i bardzo kocham, mój Tato, i chciałbym, żeby Go wszyscy kochali. Kiedy się modłę do Niego, to jakby mi coś mówiło: Michasiu! Tata i Mama wszystko mieć będą dla was i dla siebie, bo niezapominasz o Bogu, co im wszystko daje.

C H Ł O P C Z Y K.

Co tu gości! mój Tato, mówił Oleś do Ojca, kiedy w dzień Zielonych Świątek podczas rozkosznej pogody przechodził się

z nim w lasku Bielańskim; ptaszki mile śpiewały, skakając z drzewa na drzewo, z gałązki na gałązkę, i znowu swobodnie trzepocąc się na trawniku; mnóstwo ludu, wyległe z Warszawy, w różnych kierunkach, myślach i zabawie krążyło po tych miejscach wesołych, które jakby umyślnie przysposobiła natura znużonemu zgiełkiem mieszkańcowi Stolicy, aby, tu wytchnawszy, pokrzepił do nowych trudów swój umysł i siły. Można sobie wystawić, jak to bawiło Olesia, kiedy mu Ojciec coraz inne wynajdował zabawki, na coraz inne prowadził widoki. Niezmordowany tysiące pytań zadawał, aż w tém niespodzianie obok jednej ścieszki zobaczył biédnego i źle ubranego chłopczyka, ze szoteczka i miotką w ręku, który wojskowemu naprzód bótę a potym mundur z kurzu oczyszczał. Przystanęli z Ojcem zdaleka, a ciekawy Oles takiej dostłyszał rozmowy.

Wojskowy. To więc niemasz Ojca, a Matka ci chora?

Chłopczyk. Tak, panie, już od sześciu tygodni.

Wojskowy. Musiał wam Ojciec zostawić jaki majątek?

Chłopezyk. Ani szeląga. — Utrzymywał z pracy i nas i siebie, ale często zapadał na zdrowiu, niémógł wiele zarobić.

Wojskowy. To taką rzeczą biédni jesteście?

Chłopezyk. O! i bardzo biédni, mój panie. Czasem ledwie mamy suchy kawałek chleba, czasem dzień cały biédna moja Matula musi przeczekać o głodzie, nim jej co ku wieczorowi przyniosę. Gdyby jeszcze nie choroba, toby sobie mogła dać radę, pracując. Tu chłopezyzna zaczął płakać rzewnie, i aż się ze łkania zanosił.

Wojskowy. Nie płacz, mój chłopezyku. Jużes mnie oczyścić, oto masz dla Matki. Litością wzruszony wojskowy dał pocziwemu chłopczyźnie dukata, i odszedł, nieczekając jego podziękowań. Olesiu puściły się także łzy z oczu, prosił Ojca podobnie rozrzewnionego tym widokiem, aby mu pozwolił wejść w rozmowę z chłopczykiem. Dobrze, mój Olesiu, rzekł Ojciec: dowiedz się od niego dokładnie o Matej; tobie się prędej udzieli. Uradowane dziecię zbliża się natychmiast z uśmiechem do biédnego chłopezyka, i zagaduje go w ten sposób:

Oleś. Nie gniewaj się na mnie, że cię zaczepiam, widziałem, żeś płakał, żal mi się ciebie zrobiło!

Chłopczyk. Dziękuję ci, kochany paniczku, ale muszę odejść, bo mnie kto może zawoła.

Oleś. Zaraz odejdiesz, powiedz mi tylko, czy przy niej jesteś, czy też gdzieindziej?

Chłopczyk. O! mój paniczku, nie przy niej. Ja terminuję u kowala w Warszawie, i cały dzień ciężko pracuję: a mój gospodarz ani chce wiedzieć o chorój Matuli. Ja tylko ukradkiem, i to późno wieczór wymykam się do niej, a w samą tylko niedzielę i święta wolno mi swego czasu używać.

Oleś. I cóż wtedy robisz?

Chłopczyk. Oto chodzę po Saskim albo Krasińskich ogrodzie, i jak mnie tu panicz widział, oczyszczam na boku potrzebującym tego obuwie i suknie.

Oleś. I dużoż zarabiasz?

Chłopczyk. Jak do czasu. Zdarzy się niekiedy, że jaki pan litościwy da więcej, jakby się należało. Właśnie i ten wojskowy, co go może Państwo widzieli (niech mu za to Bóg płaci!) dał mi złoty pieniądz. O! jak się biedna Matula ucieszy: będzie z tego na cały tydzień i na lekarstwo.

Oleś. Dobry chłopczyku, ty Matce lekarstwa kupujesz?

Chłopczyk. A któżby inny kto, mój paniczku? Nieśmiem prosić o nie, i niewiem gdzie prosić: zebrać się też wstydę, wolę uczciwie zarabiać.

Oleś. Pójdź ze mną, dobry chłopczyku. Poczym nieczekając jego odpowiedzi, wziął go Oleś za rękę, i mimo niejakiego oporu, ciągnął za sobą do Ojca, który całej rozmowy był świadkiem.

Oleś. Ah! kochany Tato, weź tego chłopczyka.

Ojciec. A kiedy on w terminie.

Oleś. To go wykup, mój Tato.

Ojciec. Wszystko uczynię dla ciebie. Zaprowadź do powozu twojego chłopczyka, tobie go powierzam, w krótko pojedziemy. Stało się, jak zapowiedział. Szybko toczył się lekki pojazd na bitym gościńcu, od Bielan po nadwiślu idącym. Chłopczyk, siedział w nogach Olesia, który niecierpliwie oczekiwał powrotu w progi domowe. Przez rozsądne prowadzenie cnotliwego Ojca nawykły do litości i dobroczynienia, ledwie stanęli przed domem, wyskoczył z pojazdu, a pocałowałszy Ojca w rękę, prosił, aby mu pozwolił odwiedzić Matkę siórotę. Udał się z nimi służący. Oleś wszy-

stko tak znalazł, jak powiedział chłopczy-
na. Chora wdowa ze łzami chwaliła przed
nim pracowitego Tomka, (tak było na
imie owemu chłopczykowi). W krótkim cza-
sie sprowadzony doktor wyleczył jego
Matkę, którą Ojciec Olesia wziął do siebie
na wieś, dla doglądania gospodarstwa fol-
warku: Tomek nauczył się czytać i pisać,
i tak pocziwością swoją jak pracą, wy-
wdzięcza się teraz swoim dobroczyńcom.

SYN POPRAWIONY i WYRODNY.

Szymuś był synem ubogich Rodziców,
którzy na jego utrzymanie w szkołach swój
szcuple majątek łożyli. Wcześniej zapo-
wiadał wielkie po sobie nadzieje, podpórę
i pociechę Rodziców. Czynił znaczny po-
stępek w naukach, bo przy niezmierniej
żywości dowcipu wszystko z łatwością poj-
mował: pierwszym był uczniem, otrzymywał
pierwszą nagrodę i pochwałę zwiérzchni-
ków. Lecz ta jego żywość wrodzona zоста-
wała mu najczęściej zawiele czasu do
zabaw: często, kiedy inni dulczyć musieli
nad książką; on aż do znużenia z młodzień-
cami, równie jak sam żywymi, grał w pił-

kę, skakał przez rowy, płoty przesadzał, lub wlaził na drzewa. Ruch podobnego rodzaju, jakkolwiek niebezpieczeństwem grożący, utrzymywał czerstwo jego zdrowie, i moc dowcipu zaostrzał. W tych także schadzkach poznał zepsutych i rozpustnych spółuczniów. Szymusia gospodarz, człowiek podeszłego wieku, niémógł z nim być wszędzie, i chociaż na usilne prośby Rodziców wstrzymywał go od zbytanych zabaw: gdy jednak w klasach wyższych został szkolnym dyrektorem, aby mu niezmnieszać powagi, zwolnił dozór nad nim, a spodziewając się, że, jako młodszymi uczący, będzie o sobie pamiętał, czasem mu tylko robił przedstawienia, czasem uprzejmiej rady udzielał. Ta jednak mało skutkowała, sądził bowiem Szymuś, że się już bez niej obejdzie.

Stąd najprzód ciche jego drwinki, stąd poszło później otwarte szyderstwo, które do tego stopnia bezczelności posunął, że w obec swoich zepsutych spółuczniów śmiał się najgrawać z przyjaciela Rodziców i domu, mniemając błędnie, jakoby wszystkie posiadał rozумы. Poczciwy staruszek cierpiał to z początku, w nadziei, że się jeszcze poprawi: karciał tych jego spółuczniów, o których wiedział z pewnością, że go na-

mawiają do złego: nareście, aby nieszczęściu zapobiegł, wstępu im do domu zabronił, i wszelkiemi sposobami Szymusia od ich towarzystwa odwodził. Niechciał zaś martwić Rodziców doniesieniem smutném, póki ostatnia niezniknęła nadzieja. Lecz, gdy cierpliwość jego zmordował, gdy się wydało, że przegrał znaczną ilość pieniędzy, i długi zaciągnął na rzeczy, uwiadomił Rodziców o wszystkim. Przybyli natychmiast, oświadczyli mu wdzięczność najczulszą, a skarcenie syna i łzy jego szczeré, które pośród uścisków złączyły się ze łzami dobrego Ojca i Matki, stały się rękojmią prawdziwej obłąkanego poprawy. Tak może jedna chwila spóźnienia byłaby zgubiła na zawsze młodzieńca, w gruncie serca dobrego; a nieszczęśliwa gra w karty wydarłaby Rodzicom najlepszego syna, szkołom najpilniejszego ucznia, cnotliwego członka społeczności, prawego syna i obywatela ojczyźnie. Tak i wy, Działki, lękajcie się niebezpiecznych towarzystw, a przestrogi Nauczycieli i starszych jak własnych Rodziców szanujcie; bo częstokroć od jednego kroku dobrego lub złego, zawisło wasze szczęście lub nieszczęście, pociecha lub smutek Rodziców.

Abym was o tém przekonał, opowiem

jeszcze nauczające zdarzenie, na które pewno zdrżycie. Michaś, brat Szymusia, również jak on żywy i pilny, nie miał tak opiekuńczego dozoru; zostawiony sam sobie, narażał się często na smutne przypadki: i chociaż Rodzice Szymusia wzywali go uprzejmie, aby krewnego odwiedzał, z nim się uczył, z nim bawił, on jednak wtedy dopiero towarzyszyć mu zaczął, gdy się stał jemu podobnym, gdy go mógł w karty ogrywać.

Niewczas osłabiał jego umysł, a częsta utrata pieniędzy wprawiała go w obłąkanie i rozpacz. Gdy nie miał pieniędzy zastawiał i sprzedawał suknie i rzeczy. Dobry Ojciec, dowiedziawszy się o tem, przyjechał, uwolnił go z długów, i dopiero wtenczas się oddalił, gdy mu przyrzekł Michaś, że się odtąd poprawi. Jakoż utrzymywał się dosyć porządnie przez kilka tygodni: lecz zły nałóg przemaga nareście. Nieszczęśliwy zapomina o przestroгах i łzach Ojca. Nowo uczęszcza do zepsutych spółuczniów, oddaje się próżnowaniu i kartom. Zastawia znowu i suknie i rzeczy, a w końcu wszystko nawet z siebie sprzedaje, tak dalece: że już tylko przy płaszczu pozostał. Cóż było robić? wstyd go już iść do Ojca. Jednak za radą swoich zepsutych towarzy-

szów, owych mniemanych przyjaciół, co stąd jeszcze spodziewali się zysku, pisze do Ojca list pełen rozpacz i upokorzenia.— Zagniewany Ojciec, odpowiada groźnie, niekaże się mu synem nazywać. Michaś nie widzi żadnej nadziei, do domu niema iść o czem: dłużnicy wołają na niego. Tak sobie więc myśli, że trzeba uciekać. Uciekać? ale gdzież się ukryje? wstyd i zgryzota każą mu zmienić nazwisko, uchodzi w nocy, błąka się długo, nareszcie zgłodniały, obdarty, przychodzi do pewnej karczmy, gdzie gospodarz daje mu przytułek z litości, i do posług domowych, do drzewa rąbania, do nosenia wody, do czyszczenia stajni przeznacza. Tam nieszczęśliwy przez kilka czasów zostaje, codziennie oblewając łzami chleb gruby, i strawę prostą, do której nienawykł. Do ślachtetniejszych usług wcale zdatny niebył, niczego się dotąd nie nauczył, wymagając zawsze, aby mu wszystko robiono, nawetby się nie zdał za chłopca, a za lokaja tym bardziej. Ale jak smutne zdarzenie dopełniło jeszcze wstydu jego!— Dnia jednego przybywa do gościńca pan jakiś. Widzi młodzieńca w łachmanach, który (było to porą zimową) w złych bótach i podartej odzieży zaganiał, krowy i

inną trzodę do chléwów. Chociaż był zmieniony i nędzny niémógł być niepoznany od stryja, a nazwajem w przybyłym gościu poznaje pana Władysława brata rodzzonego Ojca. Jakież było zadziwienie obu! rzuca się mu nóg, łzami je obléwa: stryj go podnosi, i daje mu do czytania list następujący:

Wyrodny Synu!

Postanowiłem ostatni raz jeszcze wydzwignąć cię z nędzy. Chora Matka twoja dzień i noc płacze nad tobą, i podobno żal ją wtraci do grobu. I miue niedługo na świecie: a twoje przestępstwa wcześniej mi grób otworzą. Jeżeli przeto chcesz nas widzieć żyjących, jeżeli niechcesz ściągnąć na siebie przekleństwa Rodziców, którzy cię dotąd kochali, i niémogą zapomnieć, żeś ty ich synem, daj się skłonić radami stryja, zaezniej inne życie, a unikniesz przepaści zbrodni i zguby, nad którą stoisz, nieszczęśliwy synu! pomnij i na to, że Bóg sprawiedliwy karze surowo te dzieci, które są przyczyną swym Rodzicom do zgryzot, i skracają smutkiem ich życie.

Możecie sobie wystawić, że sumienie odezwało się na te słowa rodzicielskie w Michasiu, a też potok ulżył mu brzemienia rozpaczy, która dotąd, jakoby kamień na jego sercu cię-

żyła: wziął go stryj ze sobą i powtórnie w szkołach umieścił: lecz niemożę was zapewnić, jak się sprawuje, i czy już więcej do złego niewróci. Mam jednak nadzieję, że poniżenie wiele skutkowało, że nie-szczęście, którego doznał, będąc chłopcem karczmarza jest mu zawsze na myśli, i że to samo pomimo przewagi nałogu, odstraszać go będzie od złego.

SURDUCIK MUNDUROWY.

Zdarza się często, że Ojciec lub Matka mówią do dziecięcia: daję ci złotówkę, ale ją chowaj, bo teraz o pieniądze trudno; aby zaś poznali, jak sobie dziecię postąpi, umyślnie tego niedodają: możesz jej użyć na przystojne zabawki. Lecz kiedy marnie ją wyda, przestrzegają o niedorzeczności tego, co kupiło, i dają zbawienną radę, jak skromnie użyte pieniądze miłą nam rozkosz sprawują. Najgorzej zaś dziecię postępuje, kiedy źle pojawiaszy słowa Rodziców, dusi pieniądze, i odmawia sobie przyjemności, jakaby za nie mieć mogło. Marnotrawca nietyle szkody sobie i społeczeństwu przy-

nosi, co skąpiec. Brzydki ten nałóg od dzieciństwa się wzmaga, i w młodym go wieku najłatwiej przejmujemy. A jeżeli jeszcze takome dziecię kryje się z przysmaczkami, i boi, aby ich umniejszyc niemusiało, rozdając część jaką między osoby z niem obcujaće, wtedy ohydne samolubstwo zagnieździ się w jego sercu, skazi i przytłumi zarody najślachetniejszych przymiotów. Doznali tego państwo Staropolscy, ludzie majątni, zacni, szanowani od sąsiadów, kochani od wszystkich. Niebo pozwoliło im doczekać się dwóch synów Michasia i Stefusia. Tych wychowaniem domowem sami się trudnili. Matka nauczyła ich czytać, Ojciec początków pisania i rachunków. Bawił się w ich domu krewny daleki, stary kawaler, człowiek omrukliwy, znudzony życiem, ponury, jednem słowem odludek. Temu pozwolili mieć własne gospodarstwo, aby mógł sobie ubierać na suknie i na drobne potrzeby; gdyż niechcąc się zająć najmniejszą posługą domową, byłby im próżnym ciężarem. Jakkolwiek zaś mieli sobie to za obowiązek wspierać w potrzebie krewnego, niechcieli jednak jego przykładem znęcać do siebie owych nieznosnych próżniaków, co to z mocy wyvodu krewności, jakby na artykule prawa oparci, bezczelnie domaga-

ją się wsparcia, a często są nieszczęściem rodziny. Ten krewny, którego wszyscy zwali panem Januszem, oprócz innych wad miał obrzydły zwyczaj skrytości. Jeżeli do kieszeni chciał sięgnąć, obejrzał się pierwój sto razy, czy kto na niego niepatrzy; jeżeli w kufierku przewracał, lub co do niego miał schować, czynił to jedynie ukradkiem, i w ten czas, kiedy żywej duszy w pokoju niebyło, lękając się, żeby go kto niepodszedł, i niepodebrał mu tego, co sobie skrzętnie uciulał. A najzabawniej było patrzeć, skoro owoc jaki, albo bułkę repetował. Czynił to bowiem z takim pośpiechem, i to w kącie, pod kapeluszem lub chustką, jakby szło na wydry, albo go kto gonił. Często też za karę udawał się pestką lub ziarnkiem, albo czkawki dostał. Wszyscy domowi, a szczególnie służący śmiali się z niego do rozpuku, i dziwne mu figle płatali, które bez wątpienia były naganne i złośliwe, dając mu gruszkę z ośą, albo śliwkę z popiołem, lub co podobnego. A gdy sobie język i usta wyplókiwał, chychotali się bez miary. I lubo państwo Staropolscy surowo czeladź karcili, mało to jednak pomogło, bo łatwowierny, a chciwy pan Janusz żałując swojego, wyłygał, co mógł od służących, a ci za natręctwo mścili się na nim psotami.

Michaś i Stefuś nieraz byli świadkami tej dokuczliwej zabawki. Jak dwa listki na drzewie nieznajdą się zupełnie podobne, tak się różnili ci malcy w sposobie myślenia i w postępkach swoich. Michaś był posępniejszy, Stefuś weselszy: oba śmiali się z Janusza, jego dziwactwo niejednakowo oba uważali. Michasiowi podobało się, że Janusz pakował do kuferka rubelki, pięcioletówki, a czasem dukacik świecący, Stefuś litował się nad nim, że przez swoje skąpstwo został pośmiewiskiem najlichszego służalca, i że go chłopaki na wsi palcem wytykali, i szuły psami, jak żyda: co jest zwykle u nas nierozsądnego prostactwa nałogiem. Rodzice zajęci gospodarstwem nie mieli czasu dobrze rozpoznać i uważać skłonności swoich dzieci. Często jednak chwalili Stefusia, gdy przybiegł do nich, i prosił o grosz dla biédnego, albo, kiedy sam, jeżeli miał co w kieszonce, wydobył i dał ubogiemu. Czynili to dla tego najwięcej, że Michaś żadnej w tym względzie nieokazywał czułości, i stał zdaleka, albo na niego wcale niezważał.

W krótkce oddano obu do szkół publicznych. I tu między nimi pokazała się różnica. Stefuś był pojętny, pilny, uczynny

ny i grzeczny, Michaś ograniczony, ociążały, nieużyty, stroniący.

Gdy Stefus miał co od Rodziców, natychmiast sprosił swoich spółuczniów, z którymi żył z bliska, i dzielił się owocami lub inną jaką rzeczą, z taką radością, z takim uczuciem, że tém ujmował ich serca. — Prócz tego dawał im poznać, jak mu ich obecność jest miłą, jaka to roskosz dla niego, że im tę przyjemność zrobić może. Któż się nieprzekonał w późniejszych daniach życia, czém jest przyjaźń w szkołach powzięta!... Zapytajmy się Ojców naszych, a pierwsze uniesienie, z którym się odezwą, pierwsze ich słowa, wyrzeczone z twarzą pałającą ogniem młodości, przekonają nas jawnie, jak im jest drogie wspomnienie szkolnej przyjaźni, i owych słodkich chwil spędzonych w szkołach, które im dały uczuć wzajemność serca, dały poznać dusze skłonne do cnoty, odpowiadające ich uczuciom, i połączyć się z niemi nazawsze. I zaiste, nic miłszego nad związku przyjaźni, tak ściśle skojarzone w szkołach. Wiek niewinności, wiek nieszkazonej prostoty, wiek szczerości tu się rozwija, tu swój swojego znajduje, tu się dusza w duszę przelęwa, serce jednoczy się z sercem. I gdyby żadnej

innéj korzyści nieudzielały nam szkoły, prócz tego świętego promienia, jakim się zajęło ślachtetne serce Leszka i Goworka, jużby to samo przemawiało na jej stronę, i najpiękniejszą było jej pochwałą. Tak dobry Stefus zjednał sobie niejednego społecznia przychylność, nie tém, że był w możności małą przysługę wyświadczyć, ale sposobem, jakim to robił, ale obejściem się z każdym ujmującym i grzeczném. A kiedy Nauczyciel, którego opiekuńcze oko zastępowało za szkołą rodzicielską troskliwość, któremu baczny Ojciec obu najczuléj powierzył, zachęcał swoich wychowanków, aby co miesiąc pewną ilość dostarczonych pieniędzy przez Rodziców na uczynek miłosierny odłożyli, razem wystawiając, że to ujęcie od codziennych potrzeb i zabawek, przyniesie im owoc najmiłszy, bo roskosz serca, wyższą nad wszelkie inne roskosze, zaledwo to wymówił, zaledwo dokończył te słowa, że jałmużna toruje drogę do Nieba, już wszyscy jednomyślnie, oprócz jednego Michasia, zgodzili się na to, że do spólnej karkunki będą pieniądze wpuszczali. Ale jakaż była radość Stefusia! jaki dla niego szacunek powzięli mali koledzy, kiedy go Nauczyciel na swoim miejscu postanowił

jako stróża tego pięknego skarbu, i kluczu mu powierzył, aby, ile razy przyjdzie ubogi, z niej dał mu wsparcie, i w książeczkę na to sporządzoną, tak wpływ jak wydatek wpisywał.

Razu pewnego mali członkowie towarzystwa dobroczynności w wielkim byli kłopotcie.

Niebezpieczna Wisła po tęgich mrozach zaczęła rozpuszczać, a to właśnie przed samymi Wielkiej Nocy świętami. Jakież to zmartwienie dla malców! Chcieliby ptakiem przelecieć na drugą stronę do siedliska Rodziców: nadzieja krzepi ich serca; jeszcze dzień ostatni ma rozstrzygnąć, czyli pojedą na placki, czy smutnie święta przepędzą, aż na nieszczęście przymrozek mały wzmacnia oplakaną Wisłę, jechać, iść nawet niepodobna, lód osłabiony od słońca cieplejszego zbliżającą się wiosny trzeszczy i pęka: Poliejja rozstawiona grozi i niepuszcza. Nietakby się wódz martwił, gdyby nagła ulęwa i burza niedozwoliła zebrać wszystkich laurów zwycięstwa, jak się smucili, jak płakali nasi biedni malcy, nazywając Wisłę nieszczęśliwą rzeką. Ale cóż począć? Musieli ulédz losowi, kiedy inaczej stać się niémogło: cieszyła ich przynajmniej ta myśl jedyna, że do wakacyj niezbyt już daleko,

i że sobie wtedy za wszystkie czasy odska-
czą, śmietany się wyjedzą, i za Wielkanoc
hojnie wynagrodzą. Wszyscy zaś, jakby
jednemi ustami, najwięcej nad tém boleli, że
z rokoszą zajadania placzków rodzicielskich
nieszczęśliwa Wiśła pozbawia ich daleko droż-
szej; bo możności wspierania ubogich; wszy-
scy dumali, wszyscy powtarzali te słowa:
a nasza karbunka! a nasza karbunka!

Podawali prawda niektórzy ten sposób,
aby prosić Nauczyciela o zastąpienie tego
miełego wydatku, ale, że już każdego z nich
rejestrzyk wykazywał kilkanaście złotych
zaciągniętego dłużku, przeto biedni nie-
śmieli prosić o więcej. Ale co tu zrobić
z karbunką! Tak myśleli codziennie, a jednak
widzieli, że ubodzy odchodzili z ich domu
z twarzą wesołą. Z początku sądzili, że
Nauczyciel bez ich wiedzy napelnia karbun-
kę: wiedzieli także, iż Stefusiowi niepodob-
na było tak ich przyjemnie zastąpić, bo i
jego zapas pieniężny skończył się zupełnie.
Lecz i to wiedzieli, że Michaś miał dosyć
pieniędzy, bo i rzadko przykładał się do
składki na ubogich, i to tylko z musu, kie-
dy go Nauczyciel wezwał, i nigdy sobie
niczego niekupił, a grosz do grosza ciułał,
jak lichwiarz i kutwa. Jeden z nich prze-
bieglejszy postanowił odkryć tajemnicę.

W tym celu, kiedy się wszyscy umyślnie wynieśli na domowe podwórze, on się utaja pod łóżkiem. Nauczyciel zajęty pracą zwyczajną, pisał coś w odległym pokoju. Stefus zadumał się nad książką. Michaś dobył woreczka skwapliwie, i ostrożnie przeliczał pieniążki, i pieścił się miłym sobie widokiem. Tu rozpoczęła się między braćmi następująca rozmowa.

Stefus. Stuchajno, Braciszku, poradź mi co robić z karbunką? Niémam ani grosza.

Michaś. A mnie co do tego? (I natychmiast wsunął woreczek na sam spód kuferka, obawiając się, aby na nim Stefus nie wymęczył pożyczki.)

Stefus. O mały skąpcze! niełękaj się niczego. Co twoje, tego ci niewydrę. Ale i na to zważać powinieneś, żem nie na łakotki zastawił u ciebie woreczek jedwabny, tak pięknie wyszywany w koraliki, dostałem go od Cioci, którą najbardziej kocham po Matce. Zaklinam cię, abyś go niezepsuł.

Michaś. Kiedyś go u mnie zastawił, ma się przez to rozumieć, że go mogę w pro-cencie używać.

Stefus. Toś ty gotów szarzać i mój pu-jlaresik, dany mi na imieniny od Matki? A nawet widziałem, jak w niego woczyłeś papiéry.

Michaś. Jakbyś zgadł, że tak robię.

Stefuś. Ale zmiłuj się, zaszanuj zegarek. Wszakże i ten u ciebie, a to wszystko dla naszej korbunki!

Michaś. Żebyś miał więcej rozsądku, to byś tak robił, jak ja robię; zapomniał o tej nudnej korbunce, i schował głęboko, co od Rodziców dostaniesz.

Stefuś. Już co w tym razie darujesz, że myślę inaczej. Serca nieodmienię, i niechciałbym mieć twojej nieczułości za wszystkie skarby na świecie.

Michaś. Zobaczysz później, co z tego wyniknie; ja będę miał pieniądze, a ty zostaniesz miłosiernym golcem.

Stefuś. Ej, Michasiu, Michasiu, maszże Ty Boga w sercu, tak błaho o miłosierdziu trzymać? Niestyszałżeś tej nauki z ewangelii: *Dajcie, a będzie wam dano?* Albo, czy nie odbił się o twoje serce święty odgłos tych słów zbawiennych: *Bądźcie miłosierni, jak i Ojciec wasz miłosierny jest?*

Na te słowa zawstydzony i osłupiały umilknął Michaś, a Stefuś tak dalej mówił z zapalem: Dobrze więc, kiedyś tak nielitościwy, kiedy szydzi z tego, co sercu memu najmilszą rokosz sprawuje, weź i ten ze mnie surducik, a daj mi jeszcze kilka złotych, abym za siebie i za drugich spółuczniów

moich miał co włożyć w karbunkę. Wiem, żebyś mi nie dał inaczej, choćbym cię krwawemi łzami błagał i zaklinał: proszę cię tylko na wszelki obowiązek, niemów o tém nikomu. Spodzielam się, że wkrótce wykupię wszystkie moje rzeczy, i jeszcze ci wynagrodzę. Prawda, że, jak zwykle, na wiosnę trochę bywa zimno z rana i pod wieczór, a może mi dziś jeszcze wiatr mroźny dokuczy, ale mniejsza o to: da mi Pan Bóg cierpliwie ten czas krótki przetrzymać, a nie niewyrówna téj mojej radości, że ubodzy nieodejdą bez wsparcia!—

To kiedy skończył, poczciwy Stefus zdję muje surducik mundurowy, i przybliży się z nim ku bratu, który tymczasem spokojnie w okno spoglądał, i palcem prowadził w tę i ową stronę po szybie. Z równą obojętnością dobył tajemnie kilku złotych, i rzucił je Stefusiowi na stół. Ucieszony Stefus bierze pieniądze i wszystkie natychmiast kładzie do karbunki. Ale jakież było jego zadziwienie, gdy ujrzał tuż przed sobą stojącego Nauczyciela. Trzymał on już za rękę nieczulego Michasia, a oburzony jego nagannym postępkiem w te przemówił słowa: „Klęknij, nierozsądny, i prosz Boga o to, aby cię oświecił w twoim błędzie, aby ci przebaczył to wszystko, ożém

dotąd względem Niego i ludzi grzeszyłeś. Czy niemówisz co dzień przy paciérzu tej świętej nauki: kochaj bliźniego twego, jak siebie samego? Mówisz to niezawodnie, ale usta wymawiają, czego serce nieczuje. Jednak niestracę nadziei o twojej poprawie. Jakkolwiek dotąd z przymusu tylko dawałeś kilka groszy przypadających na ciebie do składki, tak sądzę, że i ta ofiara czasem obraca się w nałóg. — O jakże piękny ten nałóg! skoro człowiek dobroczynny i w sercu znajduje nagrodę, i zastępując Bóstwo na ziemi, staje się Bogu podobny! Tak więc mam u siebie, że dla duszy ślachtetnej nic smutniejszego nad to być nie może, kiedy jej okoliczności odejmą sposobność dobrze czynienia. Nie tak jest obojętném serce twoje, iżby nieczuło choć jednej iskierki tej lubości, którą w nas obudza wsparcie biednego. Odejmuję ci zatem tę sposobność, abym ci przez to okazał, że kto żałuje tak miłego wydatku, ten się pozbawia największego szczęścia. Niebędzie odtąd żaden grosz z twojej ręki przyjęty do karbuny ubogich; schowaj go najdalej, i wiedz o tém, że tylko miłosierdzie zbliża do Boga; bo jest powiedziane w Piśmie Bożém: *Bądźcie miłosierni, jako i Ojciec wasz miłosierny jest. Ty zaś,*

kochany Stefusiu, małobyś znalazł zechęcenia w słowach moich: byłyby nawet zbytuczne; bo już serce twoje stało się oddawna skarbnicą miłosierdzia, na której Opatrzność zaszczepiła w tobie cnoty i naukę. Wszystko ci idzie jakby od ręki. Bóg Cię błogosławi, a ja ci życzę, abys tyle czuł zawsze roskoszy, ile ja czuję z twojego dobrego serca pociechy. - W niém znalazłeś nagrodę, pochwały niepotrzebuje prawdziwie cnotliwy, lubo się nią wcale niegorszy. Ty-le rozrzewniłeś serce moje, że na tém skończę... Przyjmij to pocałowanie odemnie". To mówiąc ze łzami, dobry Nauczyciel pocałował w głowę Stefusia, odebrał jego rzeczy od małego lichwiarza, wypłacił mu za niego wszelką podług umowy należytość, i zastępował przez czas niejaki składkę Michasia. Trudno było temu przekonać się z początku, jak źle robił, ujmując sobie najmilszej tkliwego serca roskoszy: ale wstyd i zgryzota, nareście stronienie i pogarda spółuczniów tego dokazały, że z prawdziwym żalem wyznał swoją winę, przyrzekł poprawę i słowa dotrzymał. Był on później świadkiem, jak za przybyciem Rodziców spółuczniów i jego własnych, Stefus odbiierał tysiąc pocałowań, jak małego kasyjera z rąk do rąk wrywano, jak był

nazywany uczniem wzorowym w obyczajach, wzorowym w naukach. Ale nie natém koniec: nieraz jeszcze Nauczyciel opowiadał gościom to zdarzenie o surduciku mundurowym, ukrywszy tylko imiona, a Michaś mimowolnóm spuszczeniem w ziemię oczu, niejednemu dawał to poznać, że o nim jest mowa. Dzięki jednak przykładom spółuczniów i przestrogom Nauczyciela, już on się ulęczył z tój tak ohydnej wady nieczułości, i sam teraz wyznaje tę prawdę: że Dobroczynność jest najpiękniejszą i najgodniejszą człowieka.

ŚLACHETNY CZYN WIEŚNIAKA.

Wielkość duszy niejest wyłącznym przywilejem wysokiego rodu, w każdym stanie znaleźć ją można, a często w najniższym spotykamy zadziwiająco ślachtetnych uczuć dowody. Takim jest czyn wieśniaka z Fijonii, prowincyi Królestwa Duńskiego.— Ogień ogarnął wieś, w której mieszkał. Pobiął natychmiast nieść pomoc nieszczę-

śliwym. Pożar szerzył się gwałtownie. Wtém mu doniesiono, że się dom jego zapalił. Zapytuje się, czy dom sąsiada jest jeszcze bezpieczny. Odebrał odpowiedź, że gore, i że straci wszystko, jeżeli swego niepośpieszy ratować. Mniejsza o to, rzekł wieśniak, muszę iść na pomoc choremu sąsiadowi. Zginie, jeżeli go opuszczę, a wiem, że mnie wygląda z pewnością. Biegnie ku domowi sąsiada, niemyśląc o swoim, gdzie było całe jego mienie, rzuca się w płomień, który już ogarniał nieszczęśliwego postanie. Widzi przepaloną belkę i bliską upadku; niezważa na to, przedziéra się nagle do łóżka, porywa chorego na plecy, i wynosi szczęśliwie. Czyn tak ślachtetny nie został bez nagrody, z Kopenhagi przysłano mu kubek srebrny, napelniony talarami Dunskiem. Pokrywka ozdobiona była wieńcem obywatelskim, a po obu stronach wisiały dwa małe medale, na których w krótkiej osnowie wryty był opis tego czynu. Wielu znakomitych mieszkańców stolicy przysłało znaczne podarunki, aby mu wynagrodzić utratę domu i majątku. Taka uczynność zasługuje na wiekopomną pamięć i wdzięczność, bo kto cnotę nagradza, ten do niej innych zachęca.

UBOGI STARZEC.

Aby zagraniczne widziéć zwierzęta, razu pewnego wyszedłem z domu. Złotówkę tylko miałem w kieszeni; z takim zapasem idę na miejsce. Człowiek bogaty, i bardzo bogaty; bięł tuż przedemną mocno zamyślony. Wtém biédny starzec spotkał nas obu; choćby nieprosił, ta drżąca głowa, co już w połowie nie jego była, ta twarz uczciwa, i ten włos siwy, ten włos szanowny mówiłby za nim. Ach! rzecze do nas, błagam litości! wspomóźcie starca, Bóg wam nagrodzi! Niémam pragnienia za co ugasić, już się ja więcéj wam nienaprzykrzę; Bóg dobry zjści życzenia moje, śmiercią dopełni mojej radości. O dobry Boże! ześlij ją wkrótce! Tak mówił starzec, ale ów bogacz temi go słowy łajac zaczyna: Nędzny! w połowie już trupem jesteś! już cię przyciska brzemię starości! czy i w tym wieku trzeba ci trunku, abyś opity zstąpił do grobu? Kto z młodu szędzi, ma i na starość." To powiedziawszy, odszedł ów skąpiec. Wstydem spłonęło lice staruszka, potok łez rzewnych spływał mu po niém. Znasz mię, o Boże!..... mówił z westchnie-

niem, i na tém skończył, i milcząc, płakał. Ja się niēmógłem oprzec żałości, która mi serce tkliwie ścisnęła. Drżącą mu ręką dając złotówkę, zrzekam się chętnie zwierząt widzenia, i rozrzewniony odchodzę zaraz, aby staruszek łez mych niewidział. Lecz on mnie jeszcze woła do siebie: Daruj młodzieńcze, mówi ze łzami, że cię wstrzymuję, ale mam powód; dając mi prędko, pewnieś się zmylił, ten pieniądz dla mnie zawielkim darem. Nieszkoduj siebie, weź go napowrót, udziel mi tylko, ile potrzeba, ażebym sobie mógł piwa kupić. Nie, mój staruszkule, zatrzymaj wszystko, jesteś uczciwy, jam się niezmylił. By się pokrzepić, kup sobie wina. Ale powiedz mi, gdzie masz przytułek? Wskazał, gdzie mieszka. A więc nazajutrz, idę tam prosto, ale niestety! od kilku godzin już świat opuścił. Jeszcze mi stoi żywo na myśli.— Na łożu śmierci taką miał postać, twarz tak uczciwą, jak była wczoraj; ta sama szerość na niej jaśniała. Widziałem przy nim książkę nabożną, widziałem twardego chleba kawałek, a łożem jego stoma i deski. Gdyby i skąpiec był widział starca, z którym nieludzko wczoraj się obszedł, chybaby kamień miał zamiast serca, nieczując na ten widok wzruszenia.

SIELANKA.

DOBRO CZYNNY MIRTYLEK.

Słońce zachodziło, stary Likas siedział przed chatą. Jego Mirtylek powracając z lasu, zatrzymuje się opodal, i ocięra zapłakane oczy, które wznosił często ku niebu. To zdziwiło Ojca. Przywołuje go do siebie. Mirtyl usłyszał, i natychmiast biegnie. Uprzejmy staruszek wziął syna swego na łono. Cóż ci to, Mirtylu? rzecze do niego, patrząc mu w oczy od łez czerwone; czy nie jesteś chory?

Mirtyl. Kochany Ojczy, mnie nic niebrakuje, i nigdy jeszcze niebyłem tak wesół, jak teraz.

Likas. Ale ty płakałeś?

Mirtyl. Nie ze smutku, mój Ojczy.

Likas. A więc / z radości? i dla czegoż, mój synu, tak wesół jesteś?

Mirtyl. Kochany Ojczy, niepytaj się mnie o to.

Likas. Czy tak sobie życzysz? Mógłbyś ty, synu, mieć co tajnego przed Ojcem?

Mirtyl. O najlepszy Ojcze! wszak mi to nieraz mówiłeś, że z dobrych uczynków nigdy się chlubić nie trzeba.

Likas. Tak jest, nigdy tego nieczyń; jednak możesz powiedzieć, co ci się trafiło, abym się i ja ucieszył, jeżeli to dobry uczynek.

Mirtyl. Chcesz tego, Ojcze, muszę cię słuchać. Przed godziną, kiedym niósł podwieczorek bratu pasącemu trzodę, usłyszałem w gęstwinie kogoś mówiącego: podsuwam się zwolna, aby go rozpoznać. W tém widzę starca, leżącego na ziemi, a przy nim sporą wiązkę drzewa, na której opierał swe ramię. Twarz miał bladą i wyschłą, oczy zalane łzami. — Stojąc za krzakiem, słyszałem, jak mówił do siebie: O dobry Boże, ulituj się méj nędzy! O biedna żono! biedne dzieci moje! — Niémogę więcéj mówić... zesłałem! To kiedy skończył, głowa mu opadła na wiązkę. — Stałem jeszcze chwilę w tém miejscu, ale widząc, że zasnął, zbliżam się zcicha, kładę podwieczorek na drzewie. Potym biegnę do Matki, proszę o mój własny, i niosę go bratu. Z powrotem, kiedym znowu przystąpił do krzaka, spoczywał staruszek, obudziłem go szelestem. — Co widzę? zawołał, ujrzawszy chleb z masłem i mléko!

Byłże tu Anioł, co mnie i moje sieroty
wybawił od śmierci? Ale kto bądź ty je-
steś, cnotliwa duszo, coś dla nas ten zgotow-
wał posiłek; niech cię Bóg błogostawi,
niech ci Bóg nagrodzi! — Tu łzy rzewne
po jego licach spłynęły. Ach, mówił dalej,
jakże ja niešťczęśliwy z tego lasu wyjdę?
Bóg mi wskaże drogę, abym ten posiłek
zaniósł mym sierotom. To powiedziawszy
wstał z wielkim mozolem, wziął wiązkę
drzewa na plecy, i włókł się zgarbiony,
często postępując. Ja poszedłem bokiem,
wyprzedziłem go znacznje, i wróciłem zno-
wu przeciw niemu. Bóg z wami, dobry
Tatulu, mówiłem, gdym blisko był niego.
Zapewne wam przykro tyle nieść razem.
Dajcie mi chleb i tę flaszę z mlékem, ja
za was poniosę, ja was poprowadzę, tyl-
ko się ręką na mojem ramieniu wesprze-
cie. — Zapytałem staruszkę, gdzieby się
chciał udać, i wyprowadziłem go z lasu.
Opowiadał mi ze łzami, jak w tenczas, kie-
dy znużony zasypiał, Bóg miał o niem sta-
ranie, i nad niezem tak mocno niebołał,
jak nad tém, że swego dobroczyńcy nie-
poznał. Kaźdego rana, mówił pocziwy
staruszek i kaźdego wieczora ze mną sie-
roty moje będą zań Boga prosily, on nas
uratował

uratował od śmierci. J na ciebie, mój synu niechaj Niebo zléwa swoje błogosławieństwo i łaski, że mnie zaprowadzisz do dzieci, nim biédne z głodu poginą. Zbliżyliśmy się do chaty. Mój Ojczę, teraz wystawiałem sobie, jak się cieszyły biédne te dzieci z przybycia dobrego staruszka, i na widok posiłku: a to spomnienie wycisnęło mi łzy z oczu. Chciałeś tego, Ojczę kochany! inaczéj, niktby się niebył dowiedział. Zamilknął Mirtylek, a Likas przycisnął go z tkliwością do serca. Mogę już umrzeć spokojnie, zawołał do łez poruszony, bo wiem, że zostawię syna, co będzie dobrym i cnotliwym.

S I E L A N K A.

C E F I Z.

Witaj, Filincie! witaj mi, drogi!
 Ach! ten dzień dla mnie nad wszystko błogi!
 Dzień, co mi ciebie daje, szczęśliwy!
 Dawno już dawno, starcze cnotliwy,
 Ciebem niewidział! I wiek spóźniony
 Lepiej twą głowę posypał szrony.
 Pójdź zemną w cieniu spocząć na chwilę!
 Winna latorośl wzywa nas mile,
 I słodkie drzewo figowe wzywa.
 Owocem darzy pora życzliwa;
 Posił się, posił, starszku miły,
 Wszak świeży owoc pokrzepia siły.
 Tak mówił Cefiz, i owoc kładzie,
 Gdy go raz Filint odwiedził w sadzie.
 Pokrzepił siły starzec schorzały,
 Drzewu z owocem daje pochwałę.
 Więc je, rzekł Cefiz, daruję tobie,
 Pilnie okryję w zimowej dobie;
 Dla ciebie niechaj kwiat jego wschodzi,
 Dla ciebie słodkie owoce rodzi.
 Lecz biedny Filint w krótkce umiera,
 Ani owoców słodkich nieźbięra.
 Cefiz go płacze, i pragnie tego,
 By go śmierć zesłała tak ubogiego,
 I z takim sercem; tam go pochował,
 Gdzie stało drzewo, co mu darował.
 Grobowiec z ziemi dlań wyprowadził,
 Róże i cyprys w koło posadził.
 Często, gdy Księżyc światło rozsiewe,
 Święty szum jakiś listkami chwieje.
 Odgłos przyjemny z grobu powstaje,
 I dzięki jemu składać się zdaje.

A Cefiz w szczęściu opływa za to,
 Hójny mu owoc przynosi lato,
 Corocznie większą ma gron obfiteść,
 Bo dobre Niebo nagradza litość.

S I E Ł A N K A.

M I R T Y L.

Miryl odwiedził w czasie cichego wieczora,
 Brzegi lśniące się blaskiem przestrzeni jeziora;
 Tam słodki śpiew słowika, cicha okolica,
 Duszę jego spokojném dumaniem zachwyca.
 Potym wracał, gdzie stała altana zielona,
 Którą przy chatce winne ukształciły grona,
 W niej Ojciec przy Księżycu oddał się wy-
 tchnieniu,

Oparłszy siwą głowę na słabém ramieniu.
 Stał, założył ręce, dech w sobie wstrzymywał,
 Wzrok Mirtyla bez przerwy na starcu spoczywał;
 Czasem przez liść błyszczący w Niebo oczy
 wznosił;

A potok łez radości lice jego rosił.
 O ty, Ojciec najlepszy, ty! mówił do siebie,
 Co masz drugą cześć moję, a pierwszą Bóg
 w Niebie,

Jakże błogi spoczynek pokrzepia twe siły!
 O luby śnie enotliwych, ileż jesteś miły!
 Zapewniś drżącą nogą wychylił się z chaty;
 By w milczeniu uwielbić Władnącego światy,
 I w modlitwie zasnąłeś! co i za mnie była,
 Ach! którażby szczęśliwość moję przewyższyła!

Bóg słucha prośby twojej, by czemuż ta chata,
Przetrwała tak bezpiecznie niepamiętne lata,
I dziś w zgiętych owocem drzewinach spoczywa,
Czemu błogosławieństwo ma trzódka i niwa?
Często, kiedy mam jakie staranie o tobie,
Albo w słabościach wieku przysługi ci robię,
A ty się, Ojcze, we łzy radosne rozplywasz,
Lub gdy błogosławieństwa Niebios dla mnie

wzywasz:

Ach! jakież wtedy czucie w mém sercu powstaje!
Wznoszą się piersi moje, oko łzy wydaie.
Dziś na mnie wsparty chatkę opuściłeś miłą,
Aby cieplejsze Słońce siły pokrzepiło,
A widząc trzódkę błogą, i w skokach swobodną,
Drzewa owoców pełne, okolicę płodną,
Wyrzekłeś: Pośród uciech mój włos się ubielił!
O pola! których widok zawsze mnie weselił,
Niech was błogosławieństwo niebieskie osiędzie,
Wkrótce tu wzrok mój ciemny błakać się nie-

będzie,

Niedługo za szczęśliwsze zamienię was niwy!
Niestety! więc cię w krótcie stracę nieszczęśliwy;
O bolesne wspomnienie! Ach! w tej smutnej dobie,
Czcząc twe popioły, ołtarz postawię na grobie,
A w dzień, w którym cierpiących wesprą moje

ręce,

Twym cieniom, Ojcze, mléko i kwiaty poświęcę.
Tu ucichł, i ze łzami patrzy na spiącego:
Jaki, rzekł, słodki uśmiech przebiega twarz

jego!

Jest to ślad pięknych czynów, có mu zdobi czoło,
Jak światło głowę jego oświeca wesoło.
Jak mu błyszczącej brody pobielilo włosy!
Powiędz mi, wietrzyku, nieszkodzące mu rosy.
Tu ku Ojcu łagodnie Mirtyl się nachyla,
Zwolna całuje w czoło; wzbudzon przez Mirtyla,

Wstaie, i obok niego do chaty przybywa,
Gdzie wktótce w skórah miękich snem lubym
spoczywa.

MIRTYL i DAFNE.

SIELANKA.

Mirtyl.

Cóż to? już cię tak rano widzę, siostró miła!
Dopiero jaskółeczka wdzięcznie zakwiliła,
Jeszcze słonko za górą, i kur czujny w głosie
Ledwie ranek powitał, ty chodzisz po rosie!
Albożes dzień dzisiejszy święcić umyśliła,
Coś tak wczesnie kwiatami koszyk napełniła?

Dafne.

Ah! witam ciebie, witam, Mirtylu kochany,
A ty czemuś, braciszku, uprzedził świt rany?
Skąd idziesz? coś poczynął o tak wczesnej porze
Jeszcze wszędy jest cicho, niezabłysło zorze.
Rwałam róże, fijołki, i majowe kwiatki.
A teraz chcę się zbliżyć do Ojca i Matki,
Póki śpią jeszcze łóżka ich ustroję:
Ah! jakąż radość okaza oboje,
Gdy pośród woni przebudzą się mile,
I w koło siebie ujrzą kwiatów tyle!

Mirtyl.

Najmilsza siostrzo, życie mi niebyło
 Nigdy tak miłe, jak ty jesteś miłą.
 Oto wczoraj tyś sama, siostrzyczko, słyszała,
 Wczoraj kiedy wieczorna zorza zajaśniała,
 Drogi nasz Ojciec, spojrzawszy w te strony,
 Gdzie się wznosi pagórek jemu ulubiony,
 Na którym zwykł używać błogiego wywczasu,
 Mówił: O! jak tam piękne miejsce dla szalasu!
 Coby nas bronił przed słońca upałem.
 Słyszałem słowa Ojca, a jednak udałem,
 Jakbym wcale niesłyszał! rano pośpieszyłem,
 I przed jutrzenką jeszcze szalaz wystawiłem,
 Z drżącey lesczyny każda jego strona:
 Patrzaj tylko, siostruniu, robota skończona.
 Lecz niemów, aż go Ojciec dojrzy niespodzianie,
 Ten dzień niechaj się dla nas dniem radości stanie.

Dafne.

Braciszku! jak on będzie przyjemnie zdziwiony,
 Gdy zobaczy zdaleka szalaz wystawiony!
 Teraz przytknę się zcicha oddech zatamuję,
 I w okolo ich łóżka te kwiaty posuję!

Mirtyl.

Gdy ze snu ocucionych zaleci woń miła,
 Z lubym uśmiechem spojrzą na siebie,
 I powiedzą: to Dafne kochana zrobiła!
 Czemuż, najlepsze dziecię, niewidzim tu ciebie?
 Wszak to jej było staranie jedyne,
 By nam ocknienia umilić godzinę.

D a f n e.

O braciszku! gdy Ojciec szalasu dostrzeże:
 Jako! rzecze, za ledwo oczom moim wierzę!
 Na wzniosłości pagórka szalasz się ugina,
 Pewnie to dzieło kochanego syna,
 On to nawet w nocnej dobie,
 Spoczynku ujmuje sobie,
 Aby naszej starości tę pociechę sprawił;
 Oby mu za to Stwórca błogosławił!
 W ten czas, braciszku, ah! w ten czas dzień cały,
 Będą radość i szczęście serca napępniały.
 Bo kto poranku jakiego,
 Dzień od uczynku zaczyna dobrego,
 Temu się wszystko udaje,
 I w każdej chwili wesela doznaje.

 POWIEŚCI WIERSZEM.

A D E L K A.

Patrzcie, jak Adelka grzeczna,
 Jak ujmująca, niesprzeczną,
 Jak się uśmiecha, nieślocha,
 Jak siostrzyczkę czule kocha,
 Jak słucha Taty i Mamy,
 Grzeczniejszej od niej nieznamy.
 Tak mówił Ojciec do małej córy,
 Gdy właśnie miała chętkę do przekory.
 Wnet się uśmiecha, z ziemi powstaje,
 Tacie i Mamie wdzięcznie buzi daje.

Do wszystkich robi niewinniuchne minki,
 Każdy się niemógł odchwalić dziewczynki,
 A ona wszystkim zrobiła wyznanie,
 Że już na zawsze grzeczną pozostanie.

J Ó Z I A.

Raz gdy krzyczała Józia zapłakana;
 Weź ten cukierek, Józiu kochana,
 Weź go, pozwala ci Mama.
 Józia wybiera, ale biorąc sama,
 Po całej cukiernicze przewracać zaczęła;
 Największe dwa kawałki sobie przygarnęła.
 Adelce także Mama do wyboru dała,
 Lecz ta najmniejsze z bojaźnią wybrała;
 Wtedy rzekła tak Mama Józii na przestrozę:
 Twoje, coś wzięła, zostawić ci mogę,
 Ale Adelce za to większe daję,
 Że już zawczasu na małym przestaje.
 Na całe życie pamiętaj, kochanie,
 Że skromność bez nagrody nigdy niezostanie.

A D E L K A.

O Mamo droga! cóż się to stało?
 Ten człowiek obey zranił twe ciało;
 Krew płynie z ręki, o Mamo droga!
 Taka Adelcie przejęła trwoga;
 A gdy nareście była związana
 Do krwi puszczania potrzebna rana,
 Znowu przy Mamie Adelcia tkliwa,
 I z przymileniem tak się odzywa:
 Tyś zdrowa, Mamo, takem sądziła,
 Bo ja za ciebie Bozi prosiła,
 Tak, dobra córko, miej te u siebie,
 Że Bóg wysłucha w każdej potrzebie,

Ze z niego ludzie pociechę biorą,
Gdy są cnotliwi i proszą z pokorą.

DELUNIA,

Nieszczęśliwém zdarzeniem raz Delunia mała,
Od Mamy rączką dostała:

Był to wypadek i ważny i wielki,
Bo dawniej Mama względna dla Adelki,
Chociaż jęj krzykiem bardzo dokuczyła,
Ze zbytich pieścot nic jęj niemówiła.
Kiedy rzecz Tacie została odkryta,
Zbliżył się do Adelki, i tak się jęj pyta:
Czy kochasz Mamę? Kocham, Tatko drogi.
A za co kochasz? za to, bo mnie bije;
Ah! tak, ucałuj Mamy i ręce i nogi;
Wkrótce, kochanko, przyszłość ci odkryje,
Że posłusznym dzieteczkom i Bóg dobry szczęści,
A w pieścotach niewczesnych trucizna się
mieści.

JACUŚ.

Ach, drogi panie, kochany panie!
Ratuj gołąbka, co go jastrząb' goni:
Jeżeli go schwyci, cóż się z nim stanie!
Już mi usiada na głowie, na dłoni!
Machnij laseczką, wszak skówka od końca,
Tym napastnika odstraszyz niebawem,
A jeżeli jego staniesz się obrońca,
Słuszném do ciebie ma należeć prawem.
Usłuchał Jacuś rady przewodnika,
Machnął laseczką, jastrzębia oddalił,
Nauczyciel tę czułość w dziecięcieniu pochwalił,
I temi jeszcze słowy mówił do chłopczyka:

Dzisiaj gołąbka ocalasz, a może niedługo
 Przyjdzie ci wspierać liłości przysługa.
 Wówczas pamiętaj, że nam ludziom Nieba,
 Nie dla próżnej roskoszy dały skarby świata,
 Jeżeli w nieszczęściu ujrzysz swego brata,
 Pięknie ich użyć, to święta potrzeba!

PRZYJĘTA OFIARA.

Gdzieżeś to wyszła, jeszcze tak zrana?
 Powiedz, proszę Cię, siostró kochana,
 Komuś ten wieniec z kwiatów uwiła?
 Z kroplami rosy łzy połączyła?
 To zapytanie małej Ludwini
 Staś, jej braciszek, w ogródku czyni.
 Ona mu na to: Stasieczku drogi,
 I ciebie dotknął przypadek srogi,
 I tyś, braciszku, jest zapłakany;
 Wszak nam choruje Ojciec kochany,
 A smutek Matki i łzy jej rzewne
 Większą chorobę znaczą zapewne.
 Ach! czy widziałeś, jak zasmucona,
 I nas ze łzami tuląc do łona,
 Rzekła: nieplączcie, o lube dziatki
 A proście Boga o zdrowie Tatki!
 O! znać to było, ile bolała,
 Bo na ustroniu ręce łamała.
 A gdyby umarł: o dobry Boże!
 Dozwól natenczas, jeżeli być może,
 Bym z Tatą razem życie skończyła!
 Jakże z nim każda chwila jest miła,

Jak on nas kocha, jak tkliwie pieści;
 A w ustach jego słodycz się mieści;
 Bo gdyśmy jego rady spełnili,
 Droga pochwałę dziwnie umili!
 O droga siostró, rzecze Staś mały,
 Kiedy nas jego ręce trzymały;
 Już widać było na twarzy bladość;
 Nagle się nasza zmieniła radość,
 Nagle na ziemię spuścił oboje:
 I rzekł z boleścią: o dzieci moje!
 Mocno zasłabłem! w tém padł na łożę,
 I odtąd z niego powstać niemoże.
 Ach! pójdź, siostrzyczko, pójdź tylko ze mną.
 Wszak prośba dziątek Bogu przyjemną;
 Tam, gdzie się droga za wsią rozdziela,
 W kościółku Matki jest Zbawiciela
 Obraz cudowny, tam ukłękniemy,
 O zdrowie Taty prosić będziemy.
 Ach! mój braciszku, rzecze Ludwinia,
 To mi nadziei słodkiej przyczynia:
 I ja tą myślą zajęta była,
 Kiedym dziś rano ten wieniec wiała,
 Ten dar ubogi na ołtarz złożę,
 Niech nas u swego Syna spomoże.
 A ja, Staś mówi, gołąbków parę,
 Gołąbków białych dam na ofiarę;
 Te mi ptaszyny najmiłsze były;
 Ręce ich moje z młodu karmiły,
 Pod mém łóżeczkiem codzien siadały,
 Odemnie pokarm i napój brały;
 Ale mi Ojciec miłszy nad życie!
 To mówiąc wysłi o samym świecie:
 Nadbiegli, drzwi już otworem stoją,
 Dobrze dziecińcy wstąpić się boją:
 W tém ich dochodzi głos pustelnika,
 Tén głos ich serca tkliwie przenika;

Wchodzą, klękają, złożyły ręce,
 A Staś tak począł: „O Ty, coś w męce
 „Syna twojego cierpiała tyle,
 „Jeżeli Ojca naszego chwile
 „Już dobiegają, Matko jedyna,
 „Matko litości, uprosz u Syna,
 „By nam dni ujął, Ojcu przedłużył,
 „Ach on na większą ofiarę zasłużył!
 „On nas tak kocha; spraw Matko jedyna,
 „Skutek próśb naszych u Twojego Syna.”
 Chciał dalej mówić, lecz zalał się łzami:
 Już ich modlitwa pomiędzy gwiazdami;
 Bóg ją wysłuchał, i tak się im zdało,
 Jakby nad niemi światło zabielało,
 Jakby te słowa rzekł do nich Aniołek:
 Nim opuścicie dziatki ten kościółek,
 Drogi wam Ojciec już wyzdrowieje;
 Kto, jak wy w Bogu pokłada nadzieje,
 Tego modlitwa wysłuchaną będzie,
 Bóg go pocieszy, Bóg zasłoni wszędzie.
 Cieszcie się, dziatki!— Był to głos natchnienia,
 Głos najtkliwszego ich serc uniesienia,
 Taką nadzieją tych serca pałają,
 Którzy się Niebu w modlitwie oddają.
 Wróciły dzieci, z darami wróciły;
 Bogu dar serca nad wszystko jest miły.
 Ojca zastały w zdrowia lepszym stanie;
 Jakże im czułe dał pocałowanie!
 Jak tysiąc innych doznały od Matki,
 Skoro wiedziała, gdzie były jej dziatki:
 Cała rodzina Boga uwielbiała,
 A w rzewnych Ojców obyczajach stała,
 Ze łzami, z szczerą sere pobożnych wiarą
 Obraz cudowny uczciła ofiarą,
 I odtąd dzień ten dla wiecznej pamięci,
 Miłemi Niebu uczynkami święci.

PRZYPOWIEŚĆ.

Z I M A.

Mały Staś wyszedł z Ojcem na przechadzkę w zimie, była to może czwarta z południa godzina. Słońce świeciło jaskrawo, jego ukośne promienie wszystkie zlodowaciałe przedmioty zamieniały w kryształ, pod nogami skrzypiało, i to było znakiem, że w nocy ostrzejszy mróz przejmie naturę. Staś biął obok Ojca śpieszniejszym krokiem, jak zwykle, chował rączki pod suknię, i często nosek zacięrał. Nareszcie nie mogąc wytrzymać, prosił Ojca, aby z nim do domu powrócił. — Dowiedziawszy się przyczyny słusznego żądania, powracał z nim Ojciec, a w drodze miał sposobność dać mu naukę w rozmowie.

Staś. Mój drogi Tato, jak też ta zima jest przykrą, jak nieźnośnie dokucza.

Ojciec. Pamiętaj, mój synu, że po zimie nastąpi wiosna: wszak ją znasz dobrze. — Choćby zima najostrzejszą była, roskosze wiosny prędko ją w niepamięć puszczają.

Staś. To prawda, mój Ojcie, ale jak ta zima wszystko mrozi, wszystko ścina okro-

pnie, ile to zwierząt, ile biednych ptaszyn, a nawet ludzi wymarźnie.

Ojciec. Porównaj zimę ze starością, mój Stasiu, ta ubiela ziemię, tamta włos ludzki. Ale po zimie następuje wiosna, a po starości tylko śmierć nastąpi, a za grobem nieukończona wiosna wieczności. Jeżeli wiosna życia doczesnego spłynie nam w cnotach, jak spokojny strumień, który niezmaczony doprowadził wody swoje do większej rzeki; jeżeli nasze lato spędzimy użytecznie dla społeczności i siebie, jeżeli w jesieni bez wyrzutów sumienia zbierać będziemy owoce chwalebnej pracy i zabiegów uczciwych, naówczas i zimę dni naszych da nam Bóg spokojnie i z rokoszą przepędzić: a chociaż po niej nieujrzemy wiosny powtórnej, jednak wiosna wieczności, która się do nas uśmiechała na ziemi, przyjmie nas na swoje łono, z czystym sercem, gdzie czeka nagroda, to jest szczęśliwość bez końca.

ANEGDOTKI PRAWDZIWE.

SCZEŚLIWA PRZEPOWIEDNIA.

Adelcia, trzymając raz w rękę małego Pana Jezusa, z którym się dawniej często bawiła, rzekła do Mamy: Bozia ma małe rączki i nóżki i głowę, Bozia ma kuku, trzeba mu buzi dać. Takie bogobojne uczucie jest najpiękniejszą wróżbą przyszłości!

NIEWINNE PRZYRÓWNANIE.

Mała Józia mająca młodszą siostrzyczkę Andzię, słyszała nieraz, że ją Mama nazywała Aniołkiem. Będąc z Mamą w kościele, spostrzegła na bliskim nagrobku Aniołka, i głośno zawołała: O Aniołek! o Andziulka! Andziulka! a widząc ich jeszcze więcej, dodała: O Mamo, Mamo, co tu Andziulków!

TKLIWE DZIECIĘ.

Adelka była grzeczna, kochała Mamę, Mama za to brała ją wszędzie, i do kościoła, i na przechadzkę: bo Mama rzadko gdzie więcej chodziła. Raz kiedy Adelka

ze służącą i z siostrzyczką Józią wyszła za kościół, furman znajomy piastunki mówił do niej: wsadź panienki do koczka, to je trochę przewiozę. Piastunka chętnie na to przystaje, chce wsadzić dzieci do koczka. Ale Adelka niechciała, mówiąc te słowa: ja tylko z Mamą pojadę, ja niechcę sama. A gdy Mama, idąc z kościoła po nabożeństwie, dowiedziawszy się o tém, pytała się Adelki: czemu w koczku przejechać się niechciała, rzekła jój na to córeczka: bo ja Mamę żałuję! Po tych słowach Mama ze łzami uściskała tkliwą Adelkę.

PRAWDZIWA ODPOWIEDŹ.

Cztéroletnia Michalina K..... była raz na odwiedzinach z pewną Panią, u której ją Matka, odjeżdżając w podróż na czas niejaki zostawiła. Zapytana trafunkiem od téj Pani: a gdzież ty jesteś, Michalinko, odpowiedziała: Tam, gdzie mnie Pani zawiozła.

TROSKLIWOŚĆ DZIĘCIECIA.

Adelcia, gdy miała dopiero półtrzecia roku, słysząc, jak Matka mówiła, że jeszcze któremu ze służących zapomniała dać śnia-

śniadania, z niewinną minką przymówiła się za swoją lalką w te słowa: I lalka, Mammo, niejadła.

OŚMIELONA MALEŃKA.

Często, według dawnego zwyczaju, niania, a nawet osoby, więcej doświadczenia mające, straszą dzieci kominiarzem, kiedy są niegrzeczne, płaczą, lub niechęcią oddać, czémby sobie mogły zaszkodzić. Ojciec maleńkiej Józi ganił to postępowanie, przekładając piastunce, że lepiej innym sposobem skłonić dziecię do tego, i sam przekonywał nieraz, że, gdy ją chwalił temi słowy: Józia dla Tatki jest grzeczna, Józia zaraz oddaje, boby się mogła skalęczyć, Bozia się też na nią niegnięwa; mała Józia chętnie oddawała wszystko, coby naówczas w rękę mieć mogła. — Raz sobie Józia kartofelek nożem krajała: niania z prędkości straszy ją kominiarzem, mówiąc: oddaj to, Józiu, bo cię weźmie kominiarz. Lecz Józia nieślucha. Ojciec użył swojego sposobu, potym zaś powiedział: żeby się Józia niebała, że kominiarz dzieci niebierze: natychmiast Józia nóż mu oddaje. Wtenczas dla wybicia z głowy maleńkiej wszelkiego strachu, i osłabienia słów niania, pyta się Józi: czy się boi kominiarza?

Ona rzekła na to, jednak z cicha: Nieboję się, Tatko; a dalej, z wielką Ojca pociechą, odezwiała się śmiało do niani: Kominiarz dzieci niebierze, bo ma swoje dzieci.

SKUTECZNA PRZESTROGA.

Adelka rozplakała się dnia jednego, jak to czasem dzieci, prawie bez powodu, i uspokoić się niechciała. Matka przekłada jej łagodnie, że niema o co płakać, i rądzi być grzeczniejszą, lecz to niepomogło. Nareszcie mała Józia, która dotąd spokojnie patrzyła się na starszą siostrzyczkę, tak się do niej odezwie: „*ale różga się trzęsie!*” (A właśnie różga zatknięta była w oknie). A kiedy płacząca niezważała na to, Józia jeszcze dodaje: „*ale się Bozia będzie gniewał na Delę!*” Te słowa skutkowały zupełnie; bo Adelka od pierwszej młodości nauczyła się bać Bozi. — Rośnijcie w tej świętej bojaźni, o Dzieci kochane, a według przyrzeczeń Stwórcy waszego, i mądrość największe dobro wam się dostanie; bo tylko ta mądrość jest prawdziwa, która się zaczyna od bojaźni Boskiej.

DOBRE SERCE DZIĘCIĘCIA.

Ta sama Józia ujmującej dobroci serca dała raz dowód. Bo kiedy starsza siostrzy-

czka, rozdasawszy się na nią z jakiegoś niewinnego powodu, mówiła: ja ci buzi nie dam, ja cię niebędę kochała; Józia z przymleniem odezwała się do niej w te słowa: „Choć mnie Delunia niekocha, jak mi Tata kupi bułeczkę, albo sucharek, to ja dam Deluni, i buzi dam Deluni, i cukierek, jak będę miała.” Kogóż nierozrzewni taka dobroć anielska, i czego się po takim dziecięciu niespodziéwać na przyszłość?

ROZMOWY Z DZIEĆMI.

ROZMOWA I.

SIOSTRZYCZKA.

Adelka. Ach, moja Mamo, jak się Andzia śmieje?

Mama. To się baw z maleńką.

Adelka. Jak się ona śmieje, kiedy ją głaskam po buzi.

Mama. Tylko ostrożnie, bo się rozplącze.

Adelka. O, moja Mamo, ona mnie kocha, ona niebędzie płakała.

Mama. Ale jéj się może uprzykrzyć.

Adelka. Mamo, ona ściąga buzieczkę.

Mama. A widzisz, niemówiła żem ci, kochanko.

Adelka. Andziulku, nie płacz.

Mama. Przestań się z nią pieścić, a zobaczysz, jak się uspokoi.

Adelka. Ale czego ona płacze, kiedy jej nie niezrobiłam.

Mama. I pieścotami naprzykrzyć się można, kiedy ich kto nie lubi, a najszczęśliwsi są tacy. Poznasz to później, moja córko. Pieścoty zamieniają się w pochlębstwo: a kiedy dziś twojej siostrzyczce naprzykrzyłaś się, głaskając ją tylko, wystaw sobie, jak obmierźłe musi być pochlębstwo, które jest najwyższym stopniem fałszywej pieścoty, i jak niegodziwi ludzie są tak zwani pochlębcy, którzy kłamliwie udają, że nas lubią, chwalać nad miarę wszystkie nasze nawet najdrobniejsze zalety.

ROZMOWA II.

NOŻYCZKI.

Mama i Delunia.

Mama. Deluniu, połóż nożyczki.

Delunia. A kiedy ładne, moja Mamo.

Mama. Ale się możesz skalęczyć.

Delunia. Ja się nieskalęcę.

Mama. Deluniu, usłuchaj Mamy, oddaj nożyczki, oddaj je zaraz.

Delunia uciekając. Tylko się pobawię, to oddam.

Mama. Słuchajno, Deluniu, powiem ci bajeczkę.

Delunia zbliża się do Mamy. A o kim, Mamo, powiesz mi bajeczkę?

Mama. O pewnej małej dziewczynce.

Delunia. A jak się nazywa? a gdzie jest?

Mama. Nazywa się Zosia, ale jój tu niéma.

Delunia. A co ta Zosia zrobiła?

Mama. Była niegrzeczną dla Mamy; nie chciała oddać nożyczek: Mama jój téż za to niekochała.

Delunia oddaje Mamie nożyczki i całuje w rękę. Mamo, ja oddam nożyczki.

Mama głaszcząc po głowie Delunię. Delunia grzeczniejsza, jak Zosia. Pobaw się teraz, oto masz ładny obrazek.

ROZMOWA III.

DZIECIĘ POSŁUSZNE I GRZECZNE.

Mama. Nieplacz, Deluniu, Bozia będzie się gniewał.

Delunia. A który Bozia? ten malutki na krzyżyku, czy ten większy malowany?

Mama. To jeden Bozia.

Delunia. Ale, Mamo, to dwóch Boziów.

Mama. Ten Bozia malowany cierpiał za ludzi, przebito mu rączki i nóżki, jak widzisz na krzyżyku.

Delunia. A kto mu tak zrobił?

Mama. Żli ludzie, kochanko.

Delunia. A za co, Mamo?

Mama. Za to, że im dobrze czynił, że ich kochał, że ich nauczał.

Delunia. Mamo, daj mi tego Bożię, ja go pocałuję w te rączki i nóżki.

Mama. Zrób tak, córeczko moja, bo on

dobry dla nas, bo on lubi, kiedy dzieci grzeczne i posłuszne.

Delunia. Mamo, ja będę grzeczna, ja niebędę płakała.

ROZMOWA IV.
DZIECIĘ POZNAJE BOGA.

Delunia. Mamo, kto ci dał Andzię, naszą maleńką siostrzyczkę?

Mama. Bozia, córuniu.

Delunia. A który Bozia? ten, co wisi na ścianie?

Mama. Ten, co jest w niebie?

Delunia. A gdzie jest niebo?

Mama. Wysoko, moja Deluniu, wysoko. Tam u Bozi twoja niania, coś ją pochowała, co na nią ziemię sypałaś.

Delunia. Moja niania u Bozi? w niebie?

Mama. J Marysia, co się z tobą bawiła.

Delunia. Marysia spaliła się. (*)

Mama. Ona razem z nianią u Bozi w niebie, a ten Bozia dał ci siostrzyczkę Andzię.

(*) To niestety nie jest prawdziwe, równie jak wszystkie inne w tej książeczce za warte.

Delunia. To Bozia ma dzieci?

Mama. Ma, kochana córko. I my wszyscy jego dziećmi jesteśmy, bo nas przysłał Rodzicom, równie jak ciebie, i twoje siostrzyczki Józję i Andzię, kiedyśmy byli tak maleńkimi, jak Andzia.

Delunia. O dobry Bozia!

Mama. On więcej jeszcze dla nas robi, on daje nam wszystko, co mamy, i co wam dajemy.

Delunia. Ja bardzo kocham tego Bozię.

ROZMOWA V.

PRYZRZECZONA POPRAWA.

Matka i Adelka.

Matka. Adelko, czy byłaś kiedy tak małą, jak twoja siostrzyczka?

Adelka. O pamiętam, ale to dawniej. I Mama tak mnie piersiami karmiła, jak Andzię.

Matka. I w nocy nieraz musiałam wstać do ciebie, brać cię do piersi, pieluszki odmieniać, prześcielać.

Adelka. To Mama dla mnie nie spała? O dobra Mamo, ja cię bardzo kocham, ja Mamę w buzię i w rączki pocałuję.

Matka. I Tata nieraz zakotysał cię, gdym ja znużona spała, albo gdy niania niesłyszała twojego płaczu.

Adelka. A ja Tatę za to w nóżki pocałuję. *Adelka wnet idzie do Tatki, i całuje go w nóżki i rączki.*

Matka. Ale Tata skarży się na cię, że go czasem niesłuchasz; kiedy woła, to zaraz nieprzyjdiesz.

Adelka. O dobra Mamo, proś Tatki, żeby się na mnie niegniwał.

Mama prosiła Taty, żeby Adelce darował. Tata powiedział, że o tém zapomni, byleby się szczerze poprawiła.

Matka. Widzisz, Adelko, jak dobry jest Tata, jużes go tyle razy usłuchać niechciała, a on ci jeszcze daruje.

Adelka. O moja Mamo! już będę grzeczną dla Taty, dla Mamy.

Matka. Dobrze, moja córko, Bozia ci za to we wszystkiém poszczęści. Da ci przez Rodziców sukienki, da zdrowie, pamięć i to sprawi, że będziesz dobrą, że cię będą wszyscy kochali.— Kto zaś Rodziców nie słucha, tego Bozia niekocha, bo Bozia powiedział: Kto się mnie boi, ten czci Rodziców.

PTASZEK ZŁAPANY.

Mamo, Mamo, wołał raz Ignas, rzucając się zadyszony na kolana Matki; patrzaj, Mamo, co ja mam w kapeluszu!

Pani Milecka. Ach! to makolągwa. Gdzież ty ją znalazł?

Ignas. W żywym płocie naszego ogrodu znalazłem dziś rano gniazdeczko. Czekalem wieczorem. Podsunałem się z eicha pod krzaczek, i nim się spostrzegła, cap! już ją za skrzydełka ująłem.

Pani Milecka. Czy była sama w gniazdeczku?

Ignas. Były tam i dzieci, moja Mamo. Ach jakież to maleńkie stworzenia, jeszcze piórek niemają. Nieboję się, nie polecą mi nigdzie.

Pani Milecka. Cóż ci po tym ptaszku?

Ignas. Wsadzę go w klatkę, i zawieszę w pokoju dziecinnym. Codziennie dam mu siemienia, wody i cukru. Zobaczysz, Mamo, jak on będzie śpiewał, jak ładnie!

Pani Milecka. A z maleńkiemi dziećmi, co zrobisz?

Ignas. O! i te ja wezmę, i będę sam karmił. Zaraz po nie biegnę.

Pani Milecka. Ale muszę cię zasmucić, powiedzieć, że niebędziesz miał czasu.

Ignas. Ach! to niedaleko. Wszakże wiesz, Mamó, gdzie jest wielka wiśnia. To tam naprzeciwko. Dobrze pamiętam to miejsce.

Pani Milecka. Nie o tém chcę mówić. W krótkie będziesz uwięziony. Żołnierze są już może przy drzwiach.

Ignas. Żołnierze? Będę uwięziony?

Pani Milecka. Tak, mój Ignasiu. Król kazał uwięzić twego Ojca, straż, która go wzięła, powiedziała, że wróci po ciebie, i po twoją siostrę, i zaprowadzi was oboje do więzienia.

Ignas. O Boże! cóż się z nami stanie?

Pani Milecka. Zamkną was w komórecie, i nie będzie wam wolno z niej się oddalić.

Ignas. Niestety! cóżśmy zawinili?

Pani Milecka. Niezrobią wam nic złego, dadzą wszelką wygodę. Dadzą jeść i pić także; tylko was pozbawią wolności, i niedozwolą mnie widzieć.

(*Ignas płacze.*)

Pani Milecka. Cóż ci, mój synu? Powiedz mi, czy to jest wielkim nieszczęściem,

siedzieć w zamknięciu, kiedy mamy wygody.

(Ignas niemoże odpowiedzieć dla płaczu i łkania.)

Pani Milecka. Król tak postępuje z twoim Ojcem, z tobą i twoją siostrą, jak ty, Ignasiu, z ptaszkiem i z jego małąkami dziećmi. Przeto niemożesz się gniewać na niego, niepowstając razem na siebie.

Ignas płacząc. Ah! już ja wypuszczę ptaszynę. *Odsłania kapłusz, a ptaszek radośny wylatuje przez okno.*

Pani Milecka, biorąc Ignasia na ręce. Niesmuc się, mój synu, ułożyłam dla ciebie tę okoliczność, aby cię doświadczyć. Twój Ojciec niejest uwięziony, i ani ty, ani siostra niebędziecie zamknięci. Chciałam ci tylko dać uczuć, jak źle robieś, więżąc biedne stworzenie. Ile byleś zmartwiony, kiedym ci powiedziała, że cię wezmą do więzienia, tyle się smuciła ptaszyszyna, gdyś ją wolności pozbawił. Pomyśl sobie, jakby wasz Ojciec był rozpaczal, jakbyście wy do mnie płakali: tak i ptaszyszyna byłaby jęczała, odłączona od dzieci. To ci zapewne nieprzyszło do głowy, inaczej niebyłbyś jej schwytał. Czy nieprawda, Ignasiu?

Ignas. Tak, Mamo, ja o tém wcale nie-
myślałem.

Pani Milecka. Pamiętaj więc na przy-
szłość niezapominać o tém, że i niewinne
stworzenia mają prawo od Stwórcy nadane,
używać swojej wolności, i żeby okrucień-
stwem było, napełniać goryczą krótkie ich
życie. Powinieneś być nauczyć się na pa-
mięć następujących wierszyków twego Przy-
jaciela.

Ignas. Przyjaciela Dzieci? Ah! Mamo!
proszę cię, powiedz je teraz.

Pani Milecka. Postuchaj.

Cióż gniazdeczko z makolągwami,
Jest ich tam dwoje; więcej! ach! troje!
Od dawna tutaj siedzę za wami;
Biedne ptaszyny! jużście moje.

Próżno krzyczycie, małe stworzenia,
Próżno się wyrwać chcecie przedzięki,
A gdzież skrzydełka? gdzie do wzlecenia?
Jakże się z mojej wymkniecie ręki?

Lecz to podobno jest głos ich Matki?
O jak bolesna dla niej ta strata!
A to ich Ojciec woła na dziatki,
I z pożywieniem w około lata.

Jaż tak bolesną szkodę im zrobię?
Ja, który w lasku pod gęstym drzewem,

Na tój dolinie sypiałem sobie,
Ukołysany miłymi ich spiewem!

Ach! gdyby kiedy z Matki mój łona,
Złośliwy człowiek wydarł mnie siłą,
Cóżby poczęła biedna, strapiona?
Wtenczasby umrzeć ulgą jej było.

I wemnieź macie nieprzyjaciela?
Ja was, ja lubych dziątek pozbawię?
Nie, niech was odtąd nic nierozdziela,
Oto z gniazdeczkiem wszystkie zostawię.

Uczcie je w gaju, uczcie je wcześnięj,
Jak mają wznosić skrzydełka drobne,
Niech kwilą, starszych słuchając pieśni,
Słodkie treliczki, waszym podobne.

A ja, gdy pora obecna minie,
Przyjdę ich słuchać na tój dolinie,
Czasem sprowadzą wśród drzew tych cienia,
Sen moim oczom ich miłe pienia.

O NIEZNAJOMEJ W OJCOWIE,
Z ROZRYWEK DLA DZIECI.

Już będzie temu lat z pięćdziesiąt, jam
był dzieciakiem, ale żyli oboje Rodzice moi,

kiedy zaczęli ludzie gadać, jakoby w téj królewskiej jaskini coś przemieszkiwało. Jedni mówili, że to złe licho, drudzy, że dusza pokutująca, inni, że złodzieje; aż naręście dziątek dwoje rybaka Ojcowskiej pstragarni, przybiegło razu jednego do Matki, a dużo szebiocąc, powiedziały nakoniec, że biegając po tych oto skałach, obaczyły niedaleko jaskini przesliczną pannę, zapewne Księżną przebraną; one zlekły jęj się naprzód, ale ona zawołała na nie łagodnie; pokazała im kwiatki, i zbliżyła się zwolna tak dobrze, że mówić z nią mogły; ona ich się pytała: jak się zowią? czy mają Ojca i Matkę? czy umieją paciérz? i dała im po obrazku. Oto są, Matulu, powiedziały, a ta śliczna panna tak zupełnie była przebrana, jak na tych obrazkach stoi; jedno, że daleko śliczniejsza! Matka spojrziała wtedy na obrazki, i obaczyła wizerunek S. Salomei. Wielki Boże! krzyknęła, a to wam pewno sama S. Salomeja się objawiła! Pustyniac jęj tu niedaleko! I dalejże poczęła chodzić od kumy do kumy, i wnet wieść się rozeszła, że S. Salomeja, ona wielka korony Polskiej patronka, tu przyszła, i coś złego czy dobrego kranie chce obznajmić. Jedni temu wierzyli, drudzy niewierzyli, ale wielu było takich,

k którzy chodzili z umysłu na te skały, chcąc to cudo zobaczyć. Nikt tego niemógł doka-
zać; ledwie czasem jak wiewiórka w lesie,
tak mignął się między urwiskami, owej
panny habit szary; razu tylko jednego, pa-
stucha, który umarł niedawno, przyjrzał jej
się dobrze; jeszcze słonko niebyło weszło,
a ona już zbierała sobie jagody; ale skoro
chłopaka postrzegła, zerwała się kiedy ta-
nia i znikła; obaczył tylko, że była stu-
sznego wzrostu, precudnej urody, i jak
śnieg biała. Odtąd nikt ją żywą niewi-
dział, prócz dzieci; od dzieci niestroniła,
owszem wabiła je do siebie; i to niejedno
rybackie, ale z całego Ojcowa, które się
nawinęło; i ja nieraz, choć mały wonczas
dzieciak, bywałem tam z innemi. Wynala-
zła dolinkę dosyć obszerną w skałach, gdzie
ją z niskąd widać niebyło, tam sobie i ma-
ły zasudziła ogródek, i tam nam przycho-
dzić kazała; wisiął nad tą dolinką kamień
ogromny, i niewiedziąc kiedy urwał się i
załęgł ją całą; ale wtedy wolne było zu-
pełnie miejsce. i my tam chętnie do niej
chodziliśmy; młodszych z nas uczyła paciér-
rza, starsze czytać i katechizmu, bo miała
i książki; do wszystkich mówiła mile, na-
pominając nas, żebyśmy dobrzy byli, Boga i
Rodziców słuchali; a wtedy zawsze płakała;
mówi-

mówiła nam także często, żebyśmy starszych naszych prosili, aby jej nikt drogi niezachodził, bo ona niezadna święta, owszem grzesnica, nic nikomu uczynić niemoże, gdyż sama nic niema, bardzo jest nieszczęśliwa, chce tylko, żeby nikt o niej niewiedział, żeby tu umrzeć mogła spokojnie. Jak się tak przekonano, że to ani duch, ani święta, tylko sobie jakieś nieszczęśliwe i pobożne paniątko, zaczęły jej Matki przysyłać różne rzeczy do jedzenia; to chleba, to séra; ona z wielkim zajadała smakiem, dzieląc się jednakowoż zawsze z nami; dotąd korzonki i owoce leśne całą jej strawą były. Minęło tak lat parę, bo i przez zimę niebożatko w tej jaskini się biędowało; aliści rozeszła się wieść jednego lata, że sam Król ciekawy naszych skał i naszego Prądnika zwiędzać będzie z wielkim dworem tę całą dolinę; i że królewską jaskinię dla niego wyczyszczą i oświecą. Skoro usłyszała od dziątek Pustelnica, że Król tu zjedzie, tak gdzieś znikła, że ani oko ludzkie jej nieujrzało. Król był i pojechał, już i gadać o tém zjawisku przestano, a jej jeszcze widno niebyło. Nareszcie wróciła, ale pamiętam, że wróciła bardzo blada i jakaś słaba, już nas dzieci nietak często do siebie wabiła, a gdy przyszło uczyć które, nie-

mogła wiele mówić, bo jej dech zapierało. Jak nastaly pierwsze mrozy, gorzej jeszcze zastabła; wnet też przyszły srogie zimna i zawieruchy, przez kilka dni nikt do niej niechodził; aliści przychodzimy, niema jej, szukać wszędzie, niema nigdzie; szukają i starsi, nieznajdują wcale; żal wielki w Ojcowskię dolinie, bo ją bardzo pokochały dziatki, a za dziatkami, Rodzice. Nareszcie wieść przychodzi, że niedawno do klasztoru PP. Bernardynek w Krakowie, ktoś już po północy słabiuchno zadzwonił, fórtynka się przebudziła, ale niesłyszając nic więcej, myślała, że sen taki ją trapił. Naza jutrz dopiero, otworzywszy fórtę, zastała przed drzwiami leżącą bez duszy młodą kobietę, w szarym habicie; była to nasza biedna Pustelnica... już jej się doczucić nikt niemógł; Panny bardzo się przelękły i zafrasowały; dano znać do urzędu; przysli różni panowie, ale nikt niebożątka niepoznał; przyjechali tu i do nas, pytali się wszystkich, przetrzęśli jaskinię, ogródek, książki polskie i francuzkie, jakie znaleźli, zabrali, ale nigdzie, ani jej imię, ani jej nazwisko niestało; zapewne ona wszystko zakonnicom opowiedzieć chciała, i w klasztorze umrzeć, jak Bóg przykazał; ale jej się nieudało niebóde, snadź dla srogięgo zimna i wielkię ciału niemocy.

NIEZNAJOMA W OJCOWJE.

Komedyja w dwóch Częściach.

O S O B Y:

PAWLUK, Gospodarz Ojcowski.

NIEZNAJOMA.

PEDAŁ, Organista ze Smardzowie, wsi niedaleko Ojcowa.

JANEK, Pastuszek około 11 lat mający, sierota.

PAWELEK, } kilkoletnie chłopczyki, dzieci Pawluka

STAŚ, }

MARYNKA, dziewczynka 12 lat mająca } Dzieci Są-

POLUSIA, dziewczynka 10 lat mająca } siadów.

(Rzecz dzieje się przed królewską jaskinią w Ojcowie, na dolinie otoczonej skałami i lasem, do której tylko jeden jest przystęp z gęstwiny.)

CZEŚĆ PIĘRWSZA.

ODDZIAŁ I.

Nieznajoma,

(w sukni pielgrzymiej, w zastłonie, z książką w ręku, siedzi na pagórku pod skałą.)

Bóg i wieczność! jak miłe, jak pocieszające spomnienia! Całe dni i nocy rozmyślam, a zawsze z tego źródła wypływa ulgaran moich. O drogi wynalazku! najślachtniejszy wynalazku czytania! ty rozrywasz posępne myśli moje, kiedy się w smutku daleko zapędzam. Tobiem jeszcze winna tę je-

dnę pociechę, że niewinnym, na łonie natury żyjącym istotom łatwiej udzielać mogą prawd świętej Religii, że je oswajam z uczuciami ludzkości, bez których enota jeszcze niéma wdzięku. Samotne dumania są mego serca żywiołem, w samotności zbliżam się ku Niebu: i tak już nawykłam do rozmów z temi dziećmi natury, że bez nich czas mi schodzi powoli, i czegoś niedostaje méj duszy. Otóż i moi przyjaciele! moje pociechy największe!

ODDZIAŁ II.
NIEZNAJOMA, JANEK, POLUSIA.

Janek,

(ściskając Nieznajomą za nogi.)

O Pani kochana, takeśma się spóźnili!
Ale chociaż przeszkrobali, to nie nasza
wina.

Polusia (robi co Janek).

Niech się Pani niegniéwa, mamy ochotę,
ale czasu mało, a Tatus i Matusia kazali
nam trzódki pilnować; aleśmy ją pognali do
domu, i przychodzimy prosić, żebyś z na-
mi krzynkę czytała.

Janek.

Abo o gadkę śliczną prosimy.

Nieznajoma.

A gdzie to inni? czy o nich niewiedcie?

Janek.

Staś i Pawełek biegają, niechce im się uczyć.

Polusia.

Bo też oni mali, ale jak podrosną, to zobaczysz, Jasiu, jak się będą uczyli.

Nieznajoma.

A gdzie jeszcze inni?

Janek.

Marynce Matka bardzo chora, ongi się położyła, i dziś postępuje nieboga. Ona siedzi przy niej, i podaje, co trzeba.

Nieznajoma.

Dobra z niej córka, Bóg jej też za to poszczęści; bo kto kocha Rodziców, temu On zawsze błogosławi, i nienapróżno powiedział: Czcij Ojca i Matkę swoją, abyś długo żył na świecie. A teraz powieście mi, dzieci moje, co też u was słychać?

Polusia.

Nasz Tatuś mówił, że wszyscy we wsi gadają tylko o tobie.

Janek.

O, kiebyć jeno we wsi, ale to i dalej, i w *Korzkw* i w *Zielonkach*; ba, i nawet w *Irakowie*.

Nieznajoma.

I cóż o mnie mówią?

Janek.

Żeś pustelnica, że pokutujesz za grzechy, bardzo cię żałują; ale nikt niewie, kto jesteś.

Nieznajoma (tzy obciéra).
I cóż więcej mówią?

Janek.

Tego i trudno spamiętać, i w głowie się maćci.

Polusia.

Nasi Rodzice i każdy w Ojcowie daliby życie za ciebie. Tych, co są ciekawi wiedzieć o tobie, byle czém zbywają, aby ci nieprzeszkadzali, jak mówią. O moja Pani, z radości, że cię znouu widzimy, zabaczyłam o tém zawiniątku, co Matusia dali mi dla ciebie. Jest tu pono chleba bochenek, i sérek świeży, i świeże maselko w jasczyku. (*Podaje Nieznajomój zawiniątko*).

Janek.

O, i ja mam coś dla kochanej Pani. Matusia moja żałuje, że Pani mięsa niejada, boby przysłała niejedno kureczątko ślicznie i tłusciuchno pieczone. Oto dała mi dla Pani kołaczyk z mąki pszennój i séra krajankę.

Nieznajoma.

(*Ściska dzieci, bierze od nich, i kładzie przy sobie*).

Kochane dzieci, ślicznie wam dziękuję.
Te dary tyle miłe są dla mnie, że zawsze
proszę Boga, aby wam i Rodzicom waszym
błogosławił na wszystkiém. A teraz posia-
dajcie sobie na téj oto murawie, i słuchaj-
cie mnie z pilnością.

Polusia i Janek, (siadają).

Zaraz siadamy, o! piękneż to będzie.

Nieznajoma.

Kochane dzieci, czy téż umiecie jaką pio-
senczkę o Bogu?

Janek i Polusia

My tylko paciérz umiéwa.

Nieznajoma.

Czekajcież, to ja was nauczę.

(Śpiewa).

O Boże! Stwórco wszystkiego,
Coś dał doczekać dnia tego;
Czyli to we dnie, czy w nocy,
Udziel łaskawej pomocy.

Daj zdrowie czerstwe i siły,
Aby nam chléb twój był miły,
Ześlij do pracy ochotę,
I miłość zgody i cnotę!

O Boże! przyjmij podziękii,
Za hojne dary Twój ręki,
Wszędzie dobytku przybywa;
Iak śliczne dałeś nam żniwa!

Przeto od rana do nocy
 Wzywamy Twojej pomocy,
 Wznosimy głosy wielbienia,
 Chwale Twojego Imienia.

Janek.

A to przesłiczne! nauczcież nas tego.

Polusia.

Bardzo prosimy.

Nieznajoma.

Najchętniej. Ja będę po kawalku powtarzać, wy za mną, a potem sami. (*Nieznajoma powtarza, śpiwając powoli, dzieci za nią, a później kolejno Janek i Polusia, naręście wszystko troje pieśń całą.*)

Nieznajoma.

Cieszę się, dzieci moje, żeście tak prędko pojęły; zawsze i na każdym miejscu myśli nasze powinniśmy wznosić do Boga, bo jest dawcą wszystkiego i z Jego łaski żyjemy.

Janek.

O dobra Pani! czémże ci się za to wyplacim?

Polusia.

Ja wszystkie dziewczęta będę téj pieśni uczyła.

Nieznajoma.

Tak zróbcie. Będzie to największa pracy mojej nagroda, kiedy ją poświęcicie chwale Bożej, i szczęściu bliźnich waszych.

Janek.

A ja wszystkich chłopców nauczę. Ale co to powie nasz bakalarz Smardzowski, że się w jego rzeczy wdajemy, toć on nas tego okropi. O! bo on tego nie lubi: a jak wassa pokręci, to już źle bardzo, nie daruje, żebyś się rozpekł od płaczu.

Nieznajoma.

Musi być inna przyczyna gniewu organisty, możecie mu co spsocili.

Polusia.

Nie, moja Pani, bo i niechodzimy do niego, jak bywamy w tém miejscu, i choćby nieto, musimy w lecie być w domu.

Nieznajoma.

Jakimże więc prawem mógłby się mścić na was?

Janek.

Ale, bo nasz Tatuś są z nim w przyjazni. Dnia jednego powiedzieli mu o Pani, zrazu wiary niedawał, a potem się gniewał i mówił, żeby Panię chciał widzieć, i poznać, czy Pani ma tyle w głowie, co organista Smardzowski.

Nieznajoma.

Jakże ubolévam, że temu zacnemu człowiekowi niémogę wytłómaczyć, iż nie w chęci zysku, ale dla zastugi przed Bogiem, i własnej rozrywki, chcę was czego nau-

czyć, że mu przez to chleba odbierać nie-
myślę.

Polusia.

On też o tém niemówi, bo musimy Pa-
ni powiedzieć, że na pieniądze niechciwy,
a na przednowku; to naszemu Tatusiowi
często i zboża i grosza pożyczczy: ale się w
głowie jego niemożę pomieścić, skąd Pani
tak mądra, skąd ma tyle rozumu, jak mu
powiadają nasz Tatus.

Niecznajoma.

Oto mu powiedzcie, żem się w klaszto-
rze w Krakowie uczyła, a zobaczycie, że
będzie spokojny.

Janek i Polusia.

Dobrze, moja Pani, tak mu powiemy, co
do słoweczka powiemy.

Janek.

Ale żeby też Pani powiedziała nam zno-
wu jaką historyjkę.

Polusia.

Bardzo Pani prosimy. O! bo tak pię-
knie, tak ślicznie słuchać, kiedy Pani mówi.

Niecznajoma.

Chętnie to zrobię, ale niewszystkie jeste-
ście, a gdzież są inni, gdzie jest Pawełek,
Staś i Marynka?

Janek.

O! moja Pani, zaraz ich zawołam. Pilnu-

ją nam trzódki, i przy niej się bawią. Aleć się ona przecie nierozbiegnie, będziemy ją mieli na oku, a jakby wypadło, to które zawróci. Hej! Pawełku, Stasiu, Marynko, chodźcie sam do Pani.

(*Pawełek, Staś i Marynka biegną czern-przędzją. Wszystkie dzieci siadają w kółko wedle Nieznajomej, i radują się po cichu, i w twarz się jej patrzają*).

ODDZIAŁ III.

NIEZNAJOMA, JANEK, POLUSIA, PAWEŁEK, STAŚ i MARYNKA.

Nieznajoma.

Kiedyśmy razem, muszę was się zapytać, co też o mnie mówią w Ojcowie?

Pawełek.

Niémogą się Pani nachwalić. Ojcowie i Matki proszą Boga, abys tu z nami była jak najdłużej.

Nieznajoma.

Niech im Bóg błogosławi. Tylko ich proście, aby mi niechcieli przeszkadzać, niebyli ciekawi mnie widzieć; bo gdyby tego zapragnęli, musiałabym opuścić tak miłe dla mnie ustronie, jużby mnie w Ojcowie niebyło.

Marynka.

My im to zaraz powiemy.

Staś.

O niechże nas Pani jeszcze nieodechodz, niech nam historyjki powiada, a my cię zawsze będziemy słuchali, będziemy Boga prosili za ciebie.

Nieznajoma.

Kiedy tak ciekawi jesteście, słuchajcie, powiem wam śliczną historyjkę.

Była raz dziewczynka miłosierna imieniem Faustynka J..... (*) Ta dziewczynka miała bogatych krewnych; ci mieli kilkoro dzieci, ale że byli poczciwi, Bóg im poszczęścił, i niezabrakło im chleba. Bawiąc się raz u babuni swojej, widziała biedne dzieci wiejskie, których Matki nie miały w co ubrać; łąziły ony w podartych i brudnych koszulkach, a jak smoluszki jakie wyglądały. I niemożna tego brać za złe biednym niewiastom, bo to najczęściej komornice i wdowy ubogie, co muszą dzień cały strawić na robocie, a ledwo krótki wieczór i weześnie poranek mają dla siebie i dzieci. Widząc je zatrudnione pieleniem, lub inną pracą w ogrodzie, a dzieci ich głodne, wynędzniałe, blade, biegające samopas, ciężko

(*) Ta Powieść ułożona została z prawdziwego zdarzenia, a nawet imie głównej osoby jest prawdziwe.

się zrobiło na sercu pocziwój Faustynce, przybiegła do nich, i przemówiła tak mile, że nieuciekały od niej; ależ jak miały uciekać od swojego Aniołka? Zgromadziła je niedługo w kotko przy sobie, rozmawiała z niemi, pytała się, czy jędy; a ony ku niej wyciągały szyjki, jak gąski. Wróciła do domu, załéciwszy im, aby zostały na miejscu. Cieszyły się biędne dzieciska, i smakowały zawczasu: ten mówił; przyniesie nam chlébka, ta mówiła: przyniesie, mój drogi; bo jęj się oczyni jak tarczki miluchno uśmiechały: i niezawiodły się wcale. Śpiesznie wybiegła Faustynka ze dwóru, niosąc kawałki chleba, a zbliżwszy się do nich, i temu i owemu z uśmiechem dawała. Mniejsze dzieci smacznie zjadaly, i niezważaly na to, że je starsze ciągnęły, aby dziękować panience, którą jedne całowały w ręce, inne po nogach, inne jeszcze jęj sukienkę, wołając: o dobra panienko, niech ci Pan Jezus nagrodzi! A gdy tak wszystkie nakarmiła, znouu je w kotko zwołuje. Słuchajcie, moje dziateczki, przemówi do nich głosem Aniołeczka: takieście zmorusane, musiecie się umyć. Starsze z ochotą usłuchały Faustynki, pobiegły do wody, i wnet powróciły z umytemi gąbkami; ale mniejsze moruski niechciały tego

uczyć z dobrej woli. Poznała, że ich niczem nienamówi, wabiła je do siebie, ale napróżno, niebyłyby nawet przyszły do chleba, tak mało dbały o wymytą buzię; a pokrywszy się w brózdach u Matek, jak małe króliki, siedziały cicho, dech w sobie wstrzymując. Nieczekała więc dłużej Faustynka, wydobywała jedno za drugim z pod fartuchów Matek, myła i ocierała zgrabniuchno i zwinnie. I nieraz to było, ale częściej, a dzieci tak do niej przywykły, że na nią po imieniu wołały, zowiąc ją Faustynką, dobrą panienką, i ona też wiedziała wszystkie po imieniu. Ale niedługo cieszyły się biedne dzieci tym Aniołkiem opiekunem swoim, zniknął im raz jednego! Zgromadziły się, jak zwykle, przed ogrodem, już jej niebyło, niepokazała się wcale, a służący Babuni, co do nich wysli, zapłakani i smutni po jej odjeździe do Rodziców, powiedzieli dzieciom, że już niema panienki! Niewierzyły dzieci, chodziły jeszcze długo w to miejsce, ale nakoniec musiały uwierzyć, i rozeszły się w milczeniu, błogosławiąc ze łzami jej pamięć, i życząc jej szczęścia wszelkiego. To błogosławieństwo biednych dziatki zjścił na niej Przedwieczny; bo za tę litość nad niemi dozwolił Faustynce być zawsze dobrą i kliwą cór-

ką, i dziś za jego pomocą, jest cnotliwą
Zoną i najlepszą z Matek.

Marynka.

Prześliczna historyjka, muszę ją zaraz
opowiedzieć chorój Matuli; bo oni radzi
słuchają; a jeszcze łóżka pilnują, choć się
mają lepiej.

Staś.

O zapewne, że śliczna, ja także opowiem
ją Tatulowi mojemu.

Polusia.

I ja także opowiem, i to dziś jeszcze wie-
czorem.

Pawełek.

A ja niewytrzymam do wieczora, powiem
ją zaraz, jak za próg przestąpię.

Janek (ze łzami).

A ja nié mam komu, bom ubogi siérotka,
i nie pamiętam Ojca ni Matki! ale to opo-
wiem innym pastuszkom.

Nieznajoma.

Toście ją spamiętali tak dobrze?

Wszystkie razem.

Do słóweczka jednego.

(*W tém słyhać szelest po krzakach,
z początku słaby, dalej wyraźniejszy.
Widać niespokojność na twarzy Niezna-
jomej, która zamilkła na chwilę, i wstała.
Dzieci zadziwione patrzą także na nią, i*

milczą, z oznakiem wyrażającym niespokojność).

Nieznajoma.

Cóż to za szelest? jakby się gałęzie łamały? czyliż i tu jeszcze spokojności niedoznam? tu pomiędzy skałami, gdzie tak mało potrzebuję od ludzi? taki los mój na ziemi! Bywajcie zdrowe, o dzieci kochane, muszę stąd śpiesznie uchodzić.

(Oddala się nagle).

Dzieci.

O biedna Pani! o biedna Pani!
(Zastona upada. Koniec pierwszej części.)

CZEŚĆ DRUGA.

(Miejsce to samo, co w części pierwszej.)

ODDZIAŁ II.

PAWLUK, PEDAŁ, JANEK, PAWELEK,
POLUSIA, STAŚ, MARYNKA.

Pedał (zdyszany).

Czarownica! czarownica! i jeszcze raz czarownica! A cóż to za nogi! ledwie nie pękłem, tak się przeżyłem, a ona biegła, jak sarna, i wnet znikła w gęstwinie.

Pawlu k.

O! i ja nieżałowatem nóg moich, gracko je zbierałem: już byłem przy niej, myślałem

łem, że moja, aż tu nic z tego, migła się tylko, i jużci po niej.

P e d a ł

(*siada na ziemi i ocięra pot z czoła.*)

A bodajże cię! a bodajże cię! toć ja się niewysapię za pół dnia, a jak powrócę do domu, to pęknie micha kapusty z grochem i szperką, i dzban piwa, i kto wie, czy się na tém skończy, bom się okrutnie skłósował.

J a n e k (z uśmiechem).

O wejcie! wejcie! abośma to niewidzieli, żeście leźli, jak na chór, ale, co prawda, sapali, jak miechy.

P a w ł u k.

Jużcić prawdę mówi, niechwalcie się bardzo.

P e d a ł (z obryknieniem).

Chłopcze, a znasz ty, co mores? słuchajno, ty, kluskojadzie, chlebogryzie, kaszopsuju!.... Będzie poszycie w robocie.

(*Przysuwa się do niego.*)

P a w ł u k

(*zatrzymując go.*)

Dajcieno mu pokój, toć on biędny się-rotka. Jam go wychował z małeńka, to dobry dzieciuch, dobre ma serce, on się tylko zapomniał, bo starszych lubi szanować. Darujcie mu, proszę.

Pedał.

No, kiedy prosicie, to co innego.

Pawłuk.

A ściśnijże, chłopcze, pana Pedała za nogi, i nierób tego już więcej.
(*Janek z bojaźnią zbliża się do organisty, i ściska go za nogi.*)

Janek.

A gdzie też teraz nasza dobra Pani, co nas pouczyła czytać, i opowiadała tyle pięknych rzeczy! (*Do Pawłuka*). Mój gospodarzu, niegniéwajcież się na mnie, kiedy wam powiem, żebyście mnie tego nie-nauczyli nigdy, ba i nawet mój Tatus i Matka, Bóg świeć na ich duszy!

Pawelek.

Ona tak była dobrą, i zawsze o naszych Rodzicach dobrze mówiła.

Polusia.

Tylko prosiła, żeby tu żyć mogła w pokoju, i niebyła widzianą od starszych.

Pedał (pomrukując).

A, rozumiem, od starszych, bo im w głowie niebrak oleju.

Staś.

A jak ona niewróci, to my pójdziemy jój szukać.

Pedał
(*pokręcając wasa*).

Wara od tego! bo was pozjadam, jak ulegalki.

Marynka (*do Pedała*).

Ona i o was dobrze mówiła, nazywała was pocziwym człowiekiem.

Pedał (*poprawiając się*).
He! co mówisz, dziewczyno? pocziwym człowiekiem? czy nie mówiła co więcéj?

Marynka.

Więcéj niepamiętam.

Pedał.

No, juźci to prawda, że kto pocziwy, to mądry, i każdy mądry musi być pocziwym: ergo tedy, skoro mnie nazwała pocziwym, to jakby powiedziała, że mądry.

Pawłuk

(*śluchał przez ten czas uważnie, a gdy skończył organista, on się tak odzywa*):

Niech was też gęś kopnie, juź wy, mój Pedale, jak wój co wyrzniecicie, to kieby wyrębał.

Pedał.

A od czego ta głowa na karku?

Janek

(*do Pawluka, kłaniając mu się czapką*).
Mój gospodarzu, niegońcie juź téj Pani,

prosimą was wszyscy. (*Sklaniając się Pedalowi*). I Pana organisty ślicznie prosimą.

Pedał.

A ktoby ją tam gonił? musiałbym chyba na miotle cfałować, aż na łysą górę.

Pawłuk.

Ej! co wy bajecie? pewnieby czarownica mówiła o nas tak dobrze?

Pedał.

Już wy mówcie, jak chcecie, ja sobie niedam oczu zamydlić.

Pawłuk.

Ale musicie przyzwolić na to, o co nas proszą te dzieciska, i przystać na moje perswazyje.

Wszystkie Dzieci,

(*chwytając Pedała za nogi*).

Prosimy, prosimy.

Pedał.

A o cóż prosicie?

Janek.

Żebyście niegonili naszej dobrej Pani.

Pawełek.

Bo nas jeszcze dużo nauczy.

Marynka.

A my wam wszystko w domu opowiemy, i będzie wam tak miło na sercu, że ją polubicie, choć jęj niebędziecie znali.

Pawluk.

Oj, prawda, prawda, że to śliczne rzeczy; boć mi nieraz Janek opowiadał, czego się od niej nauczył.

Staś.

Nasi Rodzice bardzo ją lubią, i przyrzekli nam, że ich nigdy pokusa niewেźmie, aby ją widzieli, i ona z tego bardzo była rada.

Polusia.

Mój panie Pedale, dajcie się udobruchać, bo z was dobry człowiek. Ale choć wiele umiecie, ona jeszcze więcej; bo ona po wielkich dworach bywała.

Janek.

A taki nam nieraz mówiła.

Marynka.

I to prawda być musi, bo ją tak lubię.

Janek.

O! i szczerą prawdą, bo ona tak dobra.

Pedał.

Wszystko to być może, ale, żeby ona mądrzejszą była odemnie, co temu, to mi się niebardzo chce wierzyć.

Pawluk.

Ale dajcież pokój. Bo widzicie, że was inaczej ćwiczą, nie tak, jak teraz, coto, Bóg wie, do czego naganiają w tych szkołach.

Pedał.

A gdzież tam ona była w jakich szkołach? Tociem ja przecie u pedela w Akademii służył za chłopca.

Pawluk.

No, i cóż z tego? wasz pudel umiał dla siebie, i wyście mądrzy dla siebie: a ta Pani jednak musi wiele umieć, bo ją te dzieciuchy jak drugą Matkę kochają.

Pedał.

Niechże i tak będzie, ale ja temu nie wierzę.

Pawluk.

Wiércie, niewiércie, ale stąd odejść musicie, bobym się na was wieczyście rozgniwał.

Pedał.

Już i was oczarowała!

Pawluk.

Niebajcie téż byle czego, mój sąsiedzie. Szkoda nóg naszych, cośmy ją gonili: kiej się tak prosi, niech tu siedzi z Bogiem, a my jej lepiej przez te pocziwe dzieciska strawę przysyłajmy.

Pedał.

Mniejsza o to: kiedy jest biedna, to ją trzeba wspierać; tylko że w tych czasach rzadkie bardzo stypy, i accypy niewielkie.

Daléj! sąsiedzie, pójdźmy do domu, bo mi
coś okrutnie ckliwo się robi.

Janek.

Dziękujemy wam, dziękujemy. A wy,
mój gospodarzu, proście téż innych, żeby
tu nieprzeszkadzali téj Pani.

Pawluk,

(odchodząc z Pedalem.)

No, no, niefrasuj się o to, mój chłopeze.

Pedał.

Niech sobie tu siedzi *in pace*, to zna-
czy, moje dzieci, w pokoju.

ODDZIAŁ II.

JANEK, MARYNKA, POLUSIA, STAŚ, PA-
WEŁEK.

Marynka.

Jużci oni odešli, ale nasza Pani czy téż
do nas wróci?

Pawełek.

Może niezobaczymy jéj nigdy.

Staś.

Jabym się na śmierć zabeczał.

Janek.

Mnie się zdaje, że wróci.

Janek (z cicha.)

Bądźcie spokojni, niech tylko nasi go-
spodarze odejdą. O! ja wam coś powiem.

Marynka.

Mówże, Jasiénku.

Staś.

Mówno, mój śliczny.

Pawetek.

Już ci za to przez dwa dni mój podwieczorek przyniesę.

Po lusia.

A ja ci marchewki przyniesę.

Janek.

Dziękuję wam za to, słuchajcie mnie teraz: nasza dobra Pani ma gdzieś w tym lesie kryjówkę, aleć ja o niej tyle wiem, co i wy sami. W tej kryjówce siedzi dopóty, póki naokolusieńko niebędzie takiej cichości, jakby makiem zasiał. Wtedy ona wychodzi sobie spokojnie, upatruje sobie jakichsiś korzonków i jagód. Ona i teraz tam siedzi; ale tylko zaczekajcie trochę: ja przejdę kilka razy po lesie w tej stronie; znać ona mnie dobrze, to jak mnie zobaczy, wnet wyjdzie z kryjówki, i będziecie ją widzieli.

*Wszystkie Dzieci razem,
(cisnąc się do Janka, i ściskając go z radością.)*

O biegnij, biegnij, Jasiénku!

Janek (odchodząc.)

Mam ci ja nogi, jak boćian, to się gładko zwinę.

ODDZIAŁ III.

MARYNKA, POLUSIA, STAŚ, PAWELEK.

Marynka.

O dobry Jasięku!

Polusia.

Żeby nam jeno młynka niewywinął.

*Staś (trochę wdasach.)*Myślisz, Polusiu, że on jaki przemieniec:
o moja piękna, on nie lubi kręcić.*Pawełek.*

Już cię mu z oczu dobrze patrzyło.

Marynka.

Ja Boga proszę, aby ta Pani do nas wróciła.

Staś.

Zobaczycie, że wróci.

Polusia.

Ja tak ją kocham, jak Matusię moję.

Pawełek.

Bo téżto dobra osoba: a kiedy przemówi, to jakby miód lizał.

*Marynka.*A słyszycież wy, dzieci, jak coś szumi
po lesie, i coraz to bliżej?*Staś.*

A doprawdyć szumi.

Polusia

(*pogląda za scenę.*)

Radujmy się! już idzie! już idzie! A widzicież tam Janka?

Pawełek.

Jak bułka za grosz, to ona, to ona.

ODDZIAŁ IV.

NIEZNAJOMA, JANEK, MARYNKA, POLUSIA, STAS, PAWELEK.

Marynka

(*u nóg Nieznajoméj.*)

O kochana Pani! o najlepsza Pani!

Polusia.

Niebój się, Pani, już oni odesli.

Stas.

I więcej niewróca.

Pawełek.

Bo nam to uroczyście przyrzekli.

Janek.

Niefrasujcie się, dzieciaki, Pani wie o wszystkim, i niebała się powrócić do was.

Nieznajoma,

(*która weszła z wolna i w milczeniu na scenę, w ciągu tego oddziału staje się coraz smutniejszą, a nawet później tży sobie zastoną obciéra.*)

Wróciła, ale nienadługo. O dzieci kochane!

czemuż was tą nowiną zasmucam! Byłyście najmilsze sercu mojemu, dla tego mi przykro, że wam to muszę powiedzieć. (*W uniesieniu i zachwyceniu.*) Docieka moja godzina, zbliża się kres dni moich, czas pokuty wychodzi, Bóg i wieczność wzywają mnie w to miejsce, gdzie żal szery i skrucha maże występki, i grzechy zagładza.— Muszę was pożegnać, serce moje woła mnie gdzieindziej. Do Krakowa pójdę, i odtąd mury klasztorne będą moim schronieniem. Część pokuty mojej poświęciłam waszej nauce, z pociechą widzę błogie jej owoce. Widzę, żeście pojęły, co wam o Bogu, o Jego opatrności i dziełach, i o powinnościach waszych mówiłam. Ten czas mego życia złotemi literami Anioł życia zapisał. Jutro w to miejsce nieprzychodźcie więcej, nieznajdziecie na niem przyjaciółki waszej; a jeśli starsi spytają się o mnie, możecie im powiedzieć, że biedna pokutnica, prześladowana od ludzi, odtąd sobie klasztor za mieszkanie obrała. Kochajcie Boga i waszych Rodziców, bądźcie pracowici, pokorni, skromni i ulegli, a będzie wam się wiodło we wszystkiem, i w Bogu i w ludziach pociechę znajdziecie. Żegnam was, dzieci moje, ze łzami, żegnam po raz ostatni. Abyście o mnie pamiętały, daję

wam jeszcze po obrazku. (*Sciska dzieci u nóg jój leżące, które zanosząc się od płaczu, niemogą ani słowa przemówić, i rozdziela między nie obrazki*). Życzę wam szczęścia, i w sercu mojem pamiętkę waszą zabiéram. A jeśli kiedy, co może niedługo nastąpi, o mojej śmierci w Ojcowie będzie wiadomość, westchnijcie za tą do Boga, której przy was, dzieci, było najspokojniej, która was tkliwie kochała, i wam najlepiej życzyła.

(*Nieznajoma, stojąc w gronie dzieci u nóg jój leżących, schyla się do każdego, i w głowę całuje, potym ręce wznosi ku Niebu, i spuszcza je nad dziećmi, w osłabieniu od łez i płaczu*).

(Zasłona upada.)

RÓŻNE WIÉRSZE.

POWINSZOWANIE MAMIE OD ADELKI.

Mamo droga! Mamo luba!
 Dzisiaj imieniny twoje,
 Dla mnie szczęście, dla mnie chluba,
 Że ci składam serce moje:

To serce, Mamo, za ciebie,
 Poświęciłam Bozi w Niebie,
 Poświęciłam z drogim Tata,
 I z najmilszą Józiulą;
 Mamo, ja tylko chcę za to,
 Niech nas twe ręce przytulą,
 A to najdroższe wiązanie
 Nam i tobie za świat stanie.

DO ADELKI W DZIEŃ JEJ URODZIN.

Pod okiem najlepszej z Matek
 Wzrastasz, Adelciu, jak skromny bławatek;
 Aniołku pięknych nadziei,
 Jako dziś jesteś uprzejmą,
 Jak ci niewinnie słówko do słówka się klei,
 Kiedy ci lata dziecinność odejmą,
 Obyś tak miłą, niewinną została,
 Bo ta jest płci twojej chwała.
 Teraz kawałkiem chleba z wszystkimi się dzielisz,
 Z smutnym się śmiejesz, z wesołym weselisz,
 I w tych uczuciach stateczna,
 Dla każdego jesteś grzeczna:
 Obyś tak i w porę inną
 Była tkliwą, dobroczynną,
 Dla każdego ujmującą,
 A dni twoich zgryzoty nigdy niezamąca.
 Twój uśmiech ileż mi wróży!
 Kwitniesz nakszałt czystej róży,
 Kwitnij, Aniołku, Rodziców pieszczoto,
 Kwitnij lubością i cnotą.

Kochasz Mamę, kochasz Tatę,
 W tém jest przyszłość twoja cała,
 Dla nich gdy będziesz przestroąg słuchała,
 Znajdziesz najmiłszą w twém życiu zapłatę.
 Takie ci na wiązanie życzenia przynoszę:
 I ta chwila najmiłsze daje mi rokosze.
 Uśmiechnij się, Aniołku, a twój Tatko luby
 Znajdzie w twych oczkach najczulsze podziękę;
 Lecz gdy ze łzami weźmiesz to pismo do ręki,
 Wszelka dla niego chwała niższą od téj chluby.

PIOSNECZKA NIANKI DLA JÓZI.

Już zapada mroczek,
 Spij, kochane dziecię,
 Sen przytula oczek;
 Lulu, moje życie!

~~~~~  
 Ptaszki się pośpiły,  
 Spij, kochane dziecię,  
 Posiła sen miły,  
 Lulu, moje życie!

~~~~~  
 Mama twoja lula,
 Spij, kochane dziecię;
 Sen ci oczki stula,
 Lulu, moje życie!

~~~~~  
 I jabym już spała,  
 Spij, kochane dziecię,



Śpij, Józiułko mała,  
Lulu, moje życie!

Sen Bozi dobrego,  
Śpij, kochane dziecię;  
Tyś Anioł k jego,  
Lulu, moje życie!

Tata kocha z Mamą,  
Śpij mi, lube dziecię,  
Tyś pieszczotą samą,  
Lulu, moje życie!

## SPOMNIENIE

### O JANIE KOCHANOWSKIM.

*Do mojej starszej Córki.*

Deluniu moja droga, nim z Tatką zasiędziesz,  
Lub z Mamą, i w książeczce pilnie czytać będziesz,  
Muszę Ci też powiedzieć, co Jan Kochanowski  
Pisał o swęj Urszulce, rzewne kojąc troski.  
Był to Ojciec uczony, z wieków owych dawnych,  
Które nam ludzi dały cnotliwych i sławnych;  
On dobrą córkę swoję utracił tak wczesnie,  
Ze się mu zdało, jakby przeminęła we śnie,  
Zgasła, jak polny kwiatek, co go wicher złamie,  
Kiedy jej srogie śmierci dotknęło się ramie.  
W tych, co i ty, Deluniu, latach prawie była,  
Jej śmierć serce ojcowskie ciężko zasmuciła:







Cnota przybliża do Nieba,  
 Niebo ją zsyła na ziemię:  
 O nią wam starać się trzeba;  
 I dla niej dzwigać trósk brzemię.

~~~~~  
 A gdy nauka dłoń poda
 Siostrze tej swojej kochanej:
 Żadna niezgłębi przygoda
 Pary tak pięknie dobranej.

~~~~~  
 Łączcież z nauką i cnotę,  
 Jedną niech idą koleją;  
 Szczęścia błogiego dni złote  
 Przy nich wam pewnie zadnieją.

~~~~~  
 A jak dziś każdy wam przyzna,
 Ze w was pociecha rozkwita;
 Tak niech i potym Ojczyzna
 Swoją was chlubą powita.

BAJECZKI.

PRAWDA i BAJKA.

Powiem rzecz osobliwszą, gdzieś dawniej sły-
 szaną,
 A państwo wierzcie, niewierzcie, jak chcecie.
 Prawda, chcąc wiedzieć, jak ją przyjmą w świecie,
 Wyszła raz nago; źle była widziana.

Najprzód wstępuje na dwory,
 J tak przemawia do panów:
 Rzućcie znikome pozory,
 Niepogardzajcie pracą niższych stanów;
 A nadewszystko niebądźcie próżni:
 Bo was bogactwo od ludzi nieróżni.....
 Precz z tą bezwstydną! kijem jój nagrodzić!
 Takie się zewsząd odezwały głosy;
 Śpieszno musiała prawda uchodzić.
 O biedna! biedna! jak smutne jój losy!
 Iednak tém jeszcze pielgrzymka nasza
 Bynajmniej się nieodstrasza,
 Nieżal jój trudów marnie straconych,
 Idzie, mówi do mieszczan, kupców i uczonych,
 Ale się na nią ten i ów użala,
 Ze sobie wiele pozwala,
 A najbardziej to im szkodzi,
 Ze nago chodzi.
 Więc ją tym prawem,
 Z hańbą i grozą wypchnięto niebawem.
 Tak pogrążona w smutku i żalobie
 Jeszcze pociechy dodaje sobie:
 Pójdę ja na wieś, odwiedzę chatki,
 Bo tam niewinność panuje z prostotą;
 Tam mnie zaproszą do siebie z ochotą,
 Czeladź, Ojcowie i Matki.
 Ja jestem Prawda! rzekła wieśniakom,
 Niemiła Panom, niemiła dworakom:
 Zem niejednemu solą jest w oku,
 Niémogli zcierpieć mojego widoku.
 Witajże! witaj! tyś nam dawno znana,
 Tyś pożądana!
 Zostań się, i żyj z nami
 Pocziwemi wieśniakami!
 Została u nich, i daje rady:
 „Dobrzy ludkowie! poniechajcie zwady,

„ Niech u was wszędzie
 „ Chędogo będzie;
 „ Bo ochędóstwo
 „ Zdobi ubóstwo:
 „ Na dobre sąsiada mienie
 „ Niech was niepali pragnienie;
 „ Tego, co Bóg daje hojnie,
 „ Używajcie spokojnie”.....

Patrzcie jeno, co za jedna!

Wieśniacy na nią powstali,

Kiej ci niemilo, to idź sobie dalej;

Tak znowu Prawda wyniosła się biedna.

I cóż mam czynić? myśli u siebie.

Jakże tu ulędz smutnej potrzebie?

Wtém zawoła: dobrze! hola!

Odmieni się moja dola!

Okryję się, wezmę stroje,

Odmienię postęпки moje,

Aby mię oko nieostrzegło czyje;

Bo mię jeszcze kto zabije!

A więc do dzieła;

Odzienie wzięła,

Ozdób włożyła bez liku,

I w tej odzieży

Między lud bieży:

Już niema krzyku,

Owszem ją czczono,

Była wielbioną,

Chociaż mówiła

O błędach śmiało,

Zręcznie ukryła

W cienie rzecz całą:

Z odmianą odzienia,

I nazwisko zmienia,

I dla tego szczęśliwa,

Ze się Bajką nazywa.

POWIEŚĆ.

JAS I PIŁKA.

Jaś, co do figlów miał żyłkę,
 Porwawszy raz piłkę,
 Zaczął nią rzucać do góry,
 I na ściany, i na mury.
 Wszyscy piłeczkę, że zgrabna, chwalili,
 A chłopczyk na to tym bardziej się sili.
 Długo było téj zabawy,
 Jasio wesoly i żwawy,
 Zręcznie ją ciskał, zręcznie i łapał:
 Ale wnet ostygł ten zapal,
 Bo wręście wyrzucona w górę, czy z ukosa,
 Trafiła w sam koniec nosa.
 Wkrótce się biedny zaczerwienił nosek,
 A stąd oczywisty wniosek,
 Że rozgniewany chłopczyk różnemi słowami
 Łajał piłkę, rzucał ją, i tupał nogami:
 Brzydaczko! precz toi z oczu!
 Tobą się więcej bawic niebędę,
 Raczej w piasku pogrzebię, lub w kącie usiędę.
 Aż Ojciec, który stał na uboczku:
 Rzekł mu: Mój Jasiu, miej naukę z tego,
 I w świecie znajdziesz piłce podobnego,
 Wyżebrze twoję łaskę w udatnej postaci,
 A potem niewdzięcznością za nią się wyłaci.
 Lecz, jako słońce wszystkich oświeca spaniele,
 Tak wielkie dusze niezraża to wcale;
 Ony niewdzięcznych obojętnie znoszą,
 A sama rokosz cnoty jest serc ich rokoszą.

K R U K.

Przemysłny kruczek tu i owdzie bywał,
I gdzie się wiodło, co mógł, to porywał;

Złoto, pierścienie,
Drogie kamienie,
Wstążeczki, płatki,
I różne mańatki.

To widząc kogut, domowy krzykała:
Na cóż ci, rzeczce, ta skrzętność się zdała?

Po tej przemowie
Kruczek odpowie:

Sam tego niewiem, próżnobyś badał,
Dlatego biorę, abym posiadał.

Tak czyni łakomy, wszystko bierze, co
tylko mieć można, nie myśląc nawet o roz-
sądnym użytku, i równie, jak skąpy, nie-
ma tego, co mu się zdaje posiadać. Tak
nie raz i dzieci pragną mieć to lub owo,
byle tylko błyszczało, choć im się na nic
nieprzyda, a nawet, choćby ta błyskotka
mogła im zaszkodzić.

Uwaga. Kruki i kawki mają to do sie-
bie, że porywają wszystko, co świeci, i
w różne kryjówki chowają, podobnie jak
skąpcy z rzemiosła, którzy także gromadzą
i tają pieniądze, aby im tylko leżały.

Gdy raz w pewnym miejscu naprawiano
dach kościelny, znaleziono na wieży w bar-

dzo znacznej wysokości Rzymskie pieniądze w gniazdach kawek; te ptaki zapewne je znalazły w pooranej roli, i tam zawłokły.

CHŁOPCZYK i PSCZOŁA.

Do kwiatka wcisnęła się pszczołka; ten kwiatek chciał zerwać chłopczyk na związkę, i odpędził z gniewem biedną pszczołkę. „Czy tak zuchwale?” rzekła obrażona, może niewiesz jeszcze, co żądło? wszak widziałeś, żem spokojnie usiadła na kwiatku, i spokojnie ssałam miód z niego! Czy myślisz, żem jest na to za małą, i że cię, malcze, niemożę ukarać? Niemożesz, odpowiedział chłopczyzna. A więc dobrze, odzwie się pszczołka, chociaż małą jestem, pozatujesz tego. To rzekłszy w mgnieniu oka ukłuła go w rękę. Ale niestety! i żądło zostało jej w ciele; dla tego musiała ginąć, i późno przekonała się o tém, że kto pragnie zemsty skwapliwie, ten się nieszczęśliwym sam robi.

Ten chłopczyk postąpił sobie niestęsznie, mógł pszczołkę na kwiatku zostawić, niech-

by sobie z niego słodycz była ssała. Ale chłopczyk chciał postawić na swoim, i chciał pokazać, eo może, nie myśląc o tém, że i najmniejszych rozdrażnić nietrzeba, i dlatego został ukłuty. I pszczołka także źle uczyniła. Mogła przelecieć na inny kwiatek: ale i ona chciała pokazać, co może; ukłuła, i zginęła, bo żądło zostało.

Uwaga. Gdy żądło pszole zostaje, musi umierać.

MYSZKA.

Myszka sądziła, że ma doświadczenie,
 Że zna zasadzki, i ominie łapkę,
 Więc rzekła, widząc jedną: kłaniam uniżenie!
 Chociaż słoninka pachnie doskonale,
 Będę się strzegła, nieruszę jej wcale.
 Przecięż ją zapach ludzi, i na nią ma chrapkę.

Ej! mówi po namyśle,
 Gdy rozważam ściśle,
 Roztropność ruszyć nieradzi,
 Lecz powąchać niezawodzi.

Wtém się przybliża, wchodzi, i nosek przykłada,
 Pak! nieśczęśliwa łapka zapada!

Nietrzeba tego doświadczać, co jest niebezpieczne. Kto się w niebezpieczeństwo nierozmyślnie podaje, często nawet życie

utraca. Niechaj cię nigdy pozory niełudzą;
niedaj się zwabić żadną przyjemnością.

DWA RAKI.

Apfe! skądże zwyczaj taki?
I sam i tam machać nogą?
Czemu prostą nieiść drogą?
Tak się z młodego śmiały starsze raki.
A on im na to: błąd uznać przyjemno,
Czemuż nie? wnet się poprawię,
Tylko mi wskażcie łaskawie,
Jak lepiej chodzić, a idźcie przedemną.
Spojrzeli na się w miłczeniu głębokiém,
Ani się który posunął krokiem!
Tak to zawsze prawdą będzie;
Łatwa nauczka o cudzym błędzie,
A gdyby nasze śmiał kto wyjawić,
Nuże w dasy na niego! zamiast się poprawić.

Tak i wy, dzieci kochane, pamiętajcie
o tém, abyście, miasto innych ganić, stara-
ły się coraz być lepsze; gdy was do-
brymi zobaczą, sami się poprawią. Przy-
jacielska rada jest chwalebna, i często skut-
kuje, ale szyderstwo oburza, i na złe wy-
chodzi.

KOGUT i GOSPODARZ.

Kukuryku! kukuryku!

Tak z całych sił kogut wrzeszczy,

Ledwo mu gardło nietrzesczy:

Lecz niekoniec na tym krzyku;

Gdy się zbiegły kaczki, kury,

Zaczął się chwalić z pięknej figury:

Jestże, mówił im, tak czujne zwierzę,

Tak żwawe, z taką postacią spaniałą,

Któreby miało

Tak ładne piórze!

A patrzcie, tu się obrócił wokoło,

Jak pyszny grzebień zdoła moje czoło,

A z tyłu czym nieładny?

Jaki ogonek składny,

Ato naczelne pióro, co się pięknie zwija,

Czy przy świetle słonecznym złota nieodbija?

A jaka błyszcząca szyja?

A jak chodzę poważnie, tylko zważcie proszę!

O! mnie wielbią powszechnie kury i kokosze.

W tém Gospodarz, co ziarno sypał mu z kobiałki,

Słyszając te jego przechwałki,

Uśmieł się z nich dowoli.

Czemu się śmiejeż? spytał kogut obrażony,

Czym prawdy niepowiedział? odmień górne tony,

Łezce na to gospodarz: powoli! powoli!

Wyznaję, prawdę mówiłś,

Ale jej wartość zmniejszyłeś,

Gdyś się sam chwalił, a to niepotrzebne;

Nietroszcz się, wszystkie wielbią, co z siebie

chwalebne.

Najnieznośniejsze jest samochwalstwo w ludziach dorosłych. Kiedy kto swoją osobą i strojem chce zająć, i o tém ustawicznie prawiać, innych nieznośnie nudzi. W młodości przeto, jako w porze wieku naszego, w której się przyjmuje i złe i dobre, jakby z jakiego nasienia, wystrzegać się trzeba najbardziej tych nieszczęśliwych przechwałek: O jakże ja wiele umiem! Jak pięknie piszę! Jak się wyśmienicie nauczyłem! Jak dobrze zrobiłem rachunki! Jak doskonale wypracowałem zadanie! To pokazuje, jaką mam głowę! Wszyscy mię chwala! Wszyscy się mną cieszą!— O próżny młodzieńcze! przestań się sam chwalić. Zaczekaj, aż cię inni pochwalą.

CHŁOPCZYK NA STOLE.

Chłopczyk na stół wsadzony, ujął się pod boki,
 I rzekł: Panowie! ja jestem wysoki!
 Wtém się mu w koło głosy odezwały:
 Zejdźże na ziemię, a będziesz mały.
 Tak niejednego ta zasługa cała,
 Że mu ślepa fortuna blask jaki przydała.
 Ale skarb duszy jest najważniejszy,
 Los mu nieprzyda, los go niezmniejszą.

Chłopezykiem w tej bajce jest człowiek próżny, który niemając zalet istotnych rozumu i nauki, pyszni się z tego, że ma godność jaką, albo majątek: i to znaczy *blask fortuny*; bo pospolicie złoto i srebro stanowi znikome bogactwo, a złoto i srebro zawsze błyszczy. Lecz kto się starał o to, aby rozum swój oświecił, i nabył mądrości, bez której wszystko inne jest niczem, ten ma w sobie prawdziwe bogactwo, prawdziwe skarby, niepodległe zmianom losu. Bo gdy nieukowi los bogactwo odbierze, już utracił wszystko: a człowiek światły może sobie w każdym razie pomódz, tém, czego się w młodości nauczył. I dlatego jeden z mędrców starożytnych nazwiskiem *Bijas*, mawiał te słowa: *Wszystko noszę z sobą*. Później będziecie czytały powieść Fedra Bajkopisarza, tej saméj osnowy, o *Symonidesie Poecie*. Tym czasem, kochane dzieci, jeżeli pilna jesteście, proście Nauczyciela, on wam ją opowie.

MOTYL.

Piękny motylek,
Żył kilka chwilek,

A że miał skrzydła z purpury,
 Ozdobne jasnym błękitem,
 Chociaż to darem natury,
 Pysznił się małym zasczytem.
 Latał do kwiatków,
 Róż i bławatków:
 I wszędzie woła,
 Kogo zobaczy:
 Blednij z rozpaczy!
 Cóż mi wydoła?

Któryż ptak równie, jak ja, ozdobny?
 I mnie podobny?

O! wszelka piękność, przy mojej gaśnie.
 W tém, kiedy swoje chluby wykrzyka,
 Pszczółkę ze słodkim ciężarem spotyka,
 Co z koniczyny leciała właśnie.
 Precz mi obmierzła! przecz stąd! zawoła;
 Niema stworzenia brzydszego, jak pszczoła!
 Głupcze! odpowie pszczoła z uśmiechem,
 Czemu się chlubisz nieswoim przepychem;
 Znasz ty mnie, panku, bogaczów potomku?
 Pójdźże, i w moim rozpatrz się domku.

KONIEC.



SPIS RZECZY.

stronica

Do Dzieci 3

POWIEŚCI.

<i>Buleczka</i>	5
<i>Rybki</i>	6
<i>Litościwe dzieci</i>	10
<i>Piękne wiązanie</i>	11
<i>Poranek</i>	16
<i>Chłopczyk</i>	18
<i>Syn poprawiony i wyrodny</i>	23
<i>Surducik mundurowy</i>	29
<i>Slachetny czyn wieśniaka, z francuzkiego</i>	42
<i>Ubogi starzec, z niemieckiego</i>	44
<i>Dobroczynny Mirtylek, z niemieckiego</i>	46
<i>Cefiz, Sielanka z Kilajsta</i>	50
<i>Mirtyl, Sielanka z Giesnera</i>	51
<i>Mirtyl i Dafne, Sielanka z Giesnera</i>	53

POWIEŚCI WIERSZEM.

<i>Adelka</i>	55
<i>Józia</i>	56
<i>Adelka</i>	56
<i>Delunia</i>	57
<i>Jacusz</i>	57
<i>Przyjęta ofiara, powieść według myśli Giesnera</i>	58
<i>Ziarna, przypowieść</i>	61

ANEKDOTKI PRAWDZIWE.

	stronica
<i>Szczśliwa przepowiednia</i>	63
<i>Niewinne przyrównanie</i>	63
<i>Tkliwe Dziecię</i>	63
<i>Prawdziwa odpowiedź</i>	64
<i>Troskliwość dziecięcia</i>	64
<i>Ośmielona małeńka</i>	65
<i>Skuteczna przestroga</i>	66
<i>Dobra serce dziecięcia</i>	66

ROZMOWY Z DZIEĆMI.

<i>Rozmowa I. Siostrzyczka</i>	67
<i>Rozmowa II. Nożyczki</i>	69
<i>Rozmowa III. Dziecię postuszne i grzeczne</i>	70
<i>Rozmowa IV. Dziecię poznaje Boga</i>	71
<i>Rozmowa V. Przyrzeczona poprawa</i> . . .	72
<i>Ptaszek złapany, rozmowa z francuzkiego</i>	74
<i>O Nieznajomej w Ojcowie, z Rozrywek dla Dzieci</i>	78
<i>Nieznajoma w Ojcowie, komedycja w dwóch częściach</i>	83
<i>Na imieniny Mamy od Adelki</i>	108
<i>Do Adelki w dzień jej urodzin</i>	109
<i>Piosneczka niańki dla Józki</i>	110
<i>Spomnienie o Janie Kochanowskim</i>	111
<i>Powinszowanie dzieciom Nowego roku</i> . .	112

BAJECZKI.

<i>Prawda i Bajka, z niemieckiego</i>	113
<i>Jaś i Pitka, powieść oryginalna</i>	116
<i>Kruk, z niemieckiego</i>	117
<i>Chłopczyk i pszczoła, z niemieckiego</i> . .	118
<i>Myszka z niemieckiego</i>	119



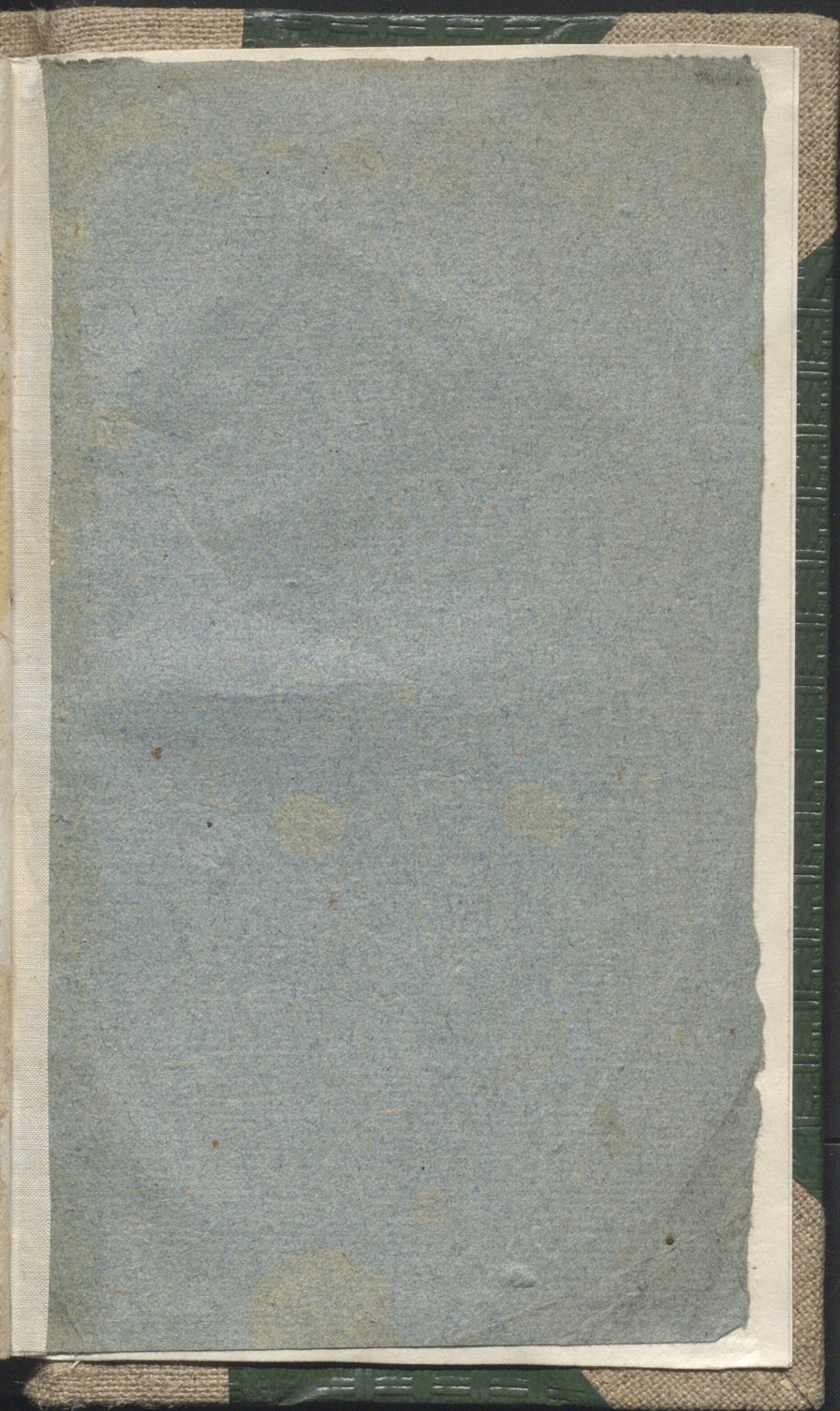
127

∞ o ∞

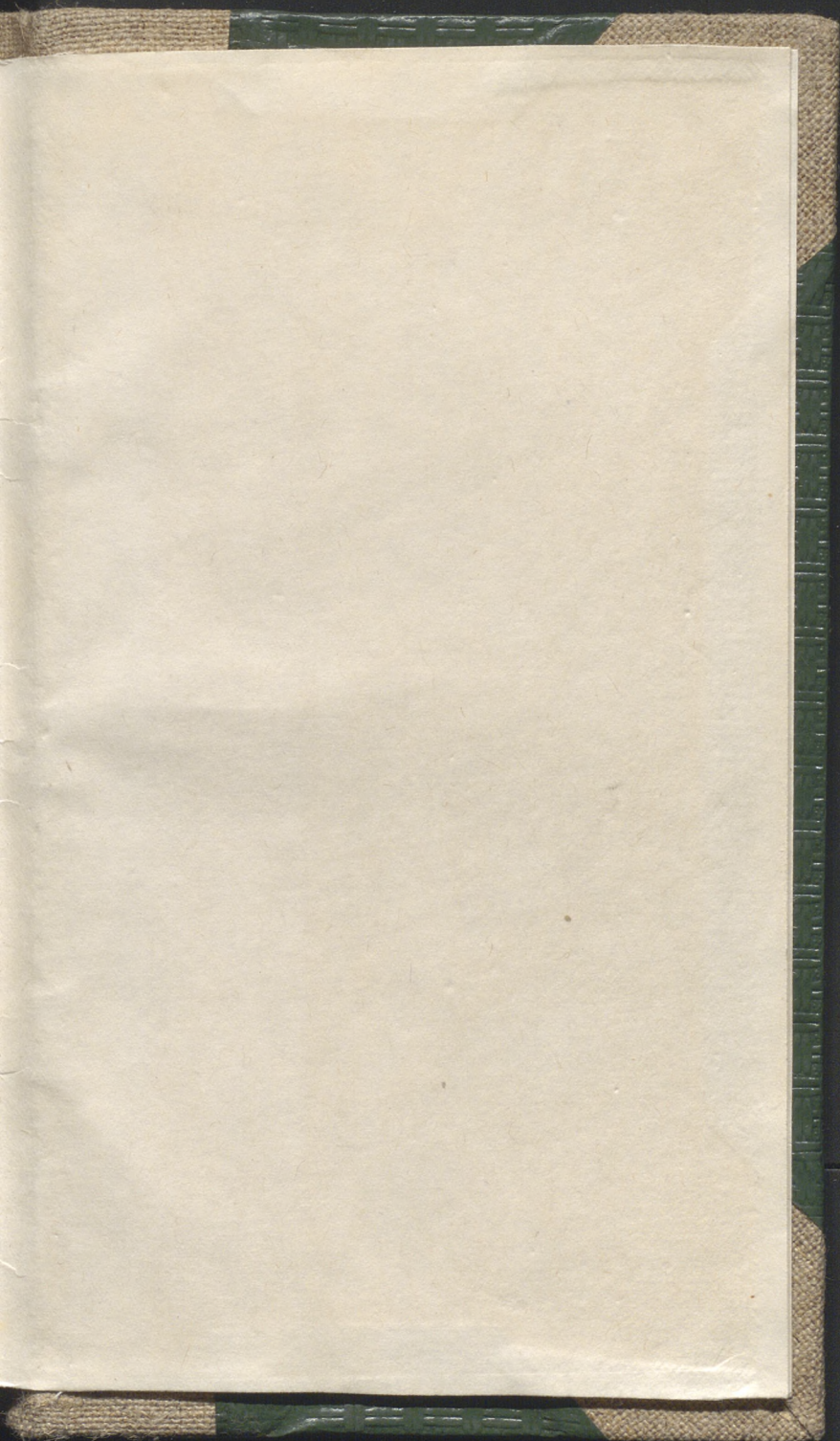
	stronica
<i>Dwa raki, z niemieckiego</i>	120
<i>Kogut i gospodarz, z niemieckiego</i>	121
<i>Chłopczyk na stole, z francuzkiego</i>	122
<i>Motyl, z niemieckiego</i>	123

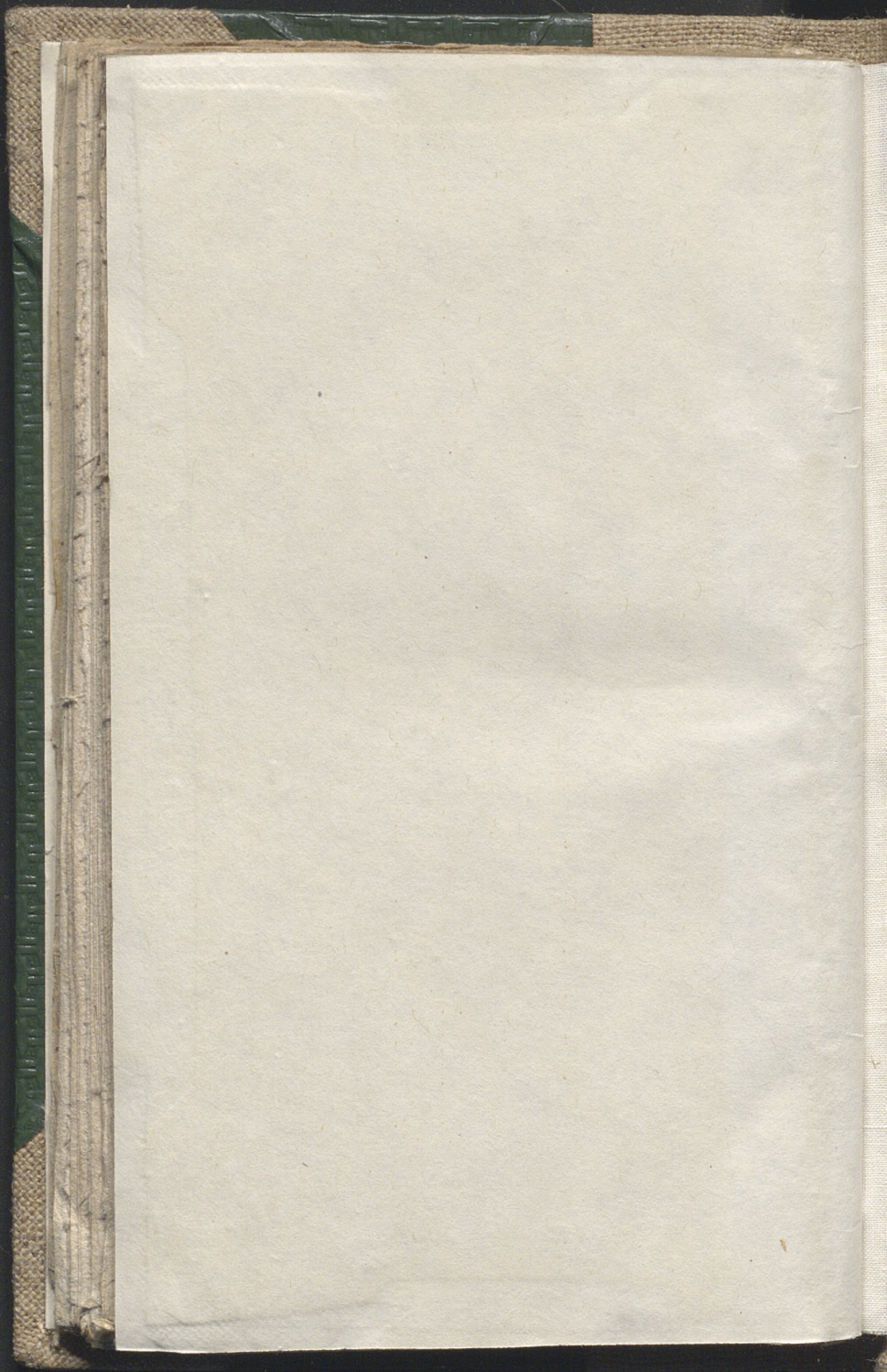


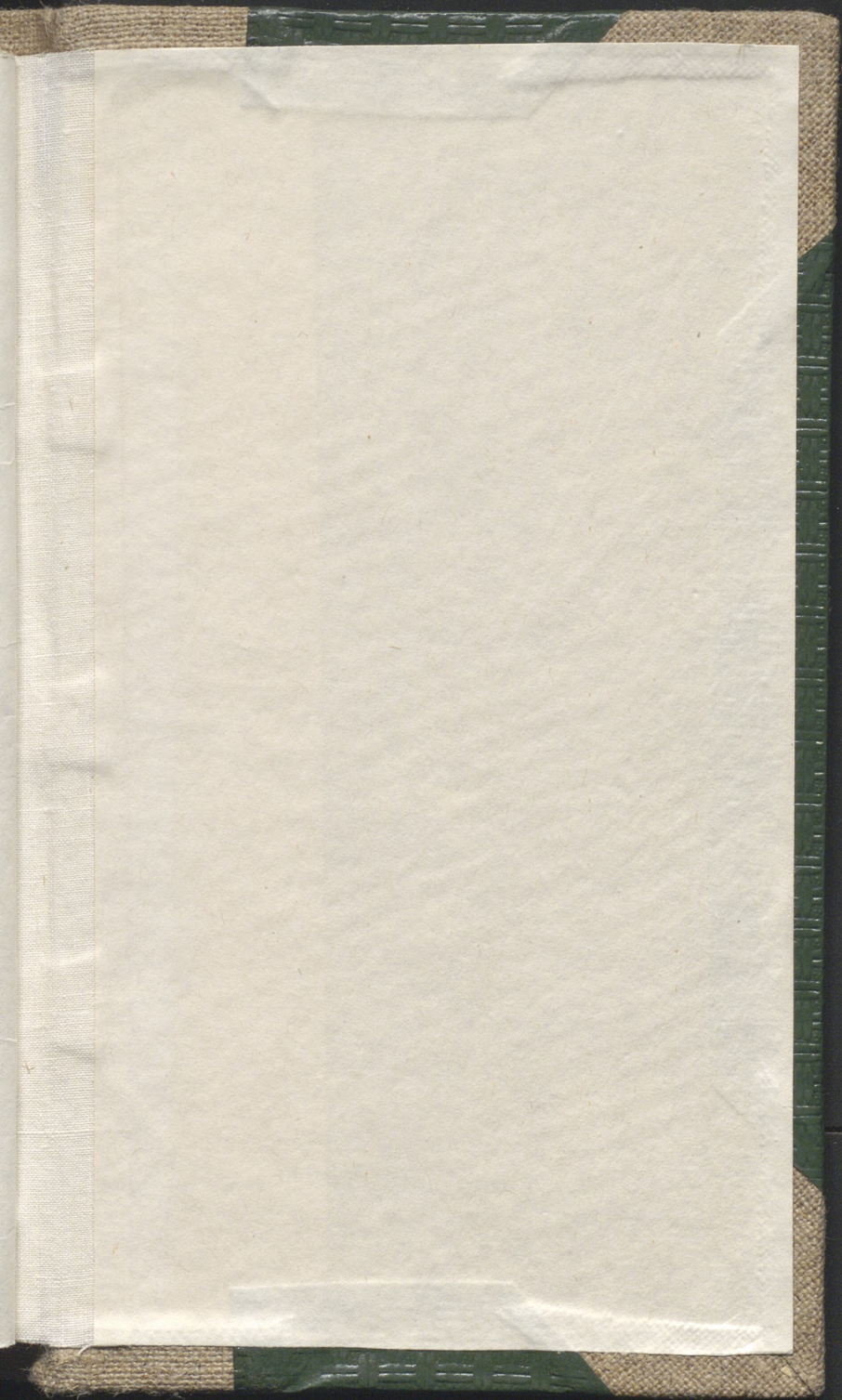
AJR













923794

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001010717514